

Dziś w numerze: • Sojusz nie spełnionych nadziei • Bylin nie może zasnąć • Moda na Francuzów • Taniec brzucha i koty w worku • Świadek obrony • Recenzje • Felietony • Polonica

odgłosy



Nr 37 (451)
17. IX. 1967 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X



Fot. Werner Stuhler

KONRAD FREJDLICH

Przeklęta błogosławiona

Był to lot ponad ziemią niegdyś przeklętą w listach, książkach i pieśniach. Z tych przekleństw mogłby wyrosnąć las potężniejszy jeszcze niż tajga, która się tu ciągnie tysiącami kilometrów. Inna, zupełnie nieporównywalna miara przestrzeni. Leciąłem nietypowo, od wschodu i samolot pełen był Japończyków, którzy udawali się daleko na zachód, do Moskwy. Stewardessa rozosiła wino, a moja sąsiadka, Amerykanka, zaczęła się wreszcie bezbłędnie czytać z baedekera słowo: Syberia. Nie miała żadnych skojarzeń, upajała się sam dźwięk.

Potem na ścianie salonu pasażerskiego sąsiadującej z kabina pilotów zapaliło się czerwone światło. Nasz Tupolew łagodnie schodził z wysokiego pułapu i minuty już dzielił nas od lotniska. Nagle zaczęła się huśtawka, samolot gwałtownie wznosił się i opadał. Amerykanka chwyciła mnie za rękę. I zaraz w salonie pojawiła się stewardessa, oznajmiając pogodnie:
— Pod nami Bajkał!

Powiedziała po rosyjsku, ale zrozumieli wszyscy.

Nie oparłem się powszechnemu odruchowi, przywarłem do iluminatora. Byliśmy jeszcze dość wysoko i widziałem oba brzegi jeziora połączone matową, pomarszczoną błoną.

Zaraz potem był Irkuck i na lotnisku cofnąłem zegarek o dwie godziny. Była to czynność całkowicie pozbawiona symboliki, tak jest czas lokalny, gdybym leciał z Moskwy musiałbym przesunąć wskazówki o pięć godzin w przód. Realizm wymaga zresztą innej miary czasu: cóż my właściwie wiemy o Syberii? Trzeba by posunąć zegarek na przód o sto lat od naszych wyobrażeń.

Sam Irkuck jeszcze tego nie zapowiada, nawet dwupiętrowy pawilon na lotnisku wydał mi się mocno prowincjonalny. W restauracji „Inturistu” piłem kawę i patrzyłem na ogromny fotos Baikału, który zajmował całą, centralną ścianę. Wiecej powiedziałaby mi chyba mapa irkuckiego obwodu

o terytorium dwukrotnie większym niż Polska.

Od gorąca wysychały mi usta, a przecież przypomniałem sobie to miasto z wiersza, który Irkuck nazywa „śnieżnym”. Oaza chłodu było tylko nadbrzeże Angary, betonowe i higieniczne; „nagiej” syberyjskiej przyrody trzeba już szukać daleko stąd, na bezkresach tajgi, gdzie docierają tylko ekspedycje geologów.

Jeszcze kilka lat temu tajga była dostojnie reprezentowana w samym Irkucku, o drewno było tutaj łatwiej niż o kamienie, toteż centralna arteria miasta, ulica Marksa, miała nawierzchnię z wysłużonej drewnianej kostki. Położono ją w latach, gdy Irkuck był jeszcze cały drewniany i kupiecki, z tego okresu zachowały się enklawy budynków słodkich jak pierniki, z rzeźbionymi futrynam i ścianami nacinanymi we wzory cukiernicze. W czasie wędrowki przez załki Mark Siergiejew, sekretarz oddziału Związku Pisarzy powiedział:

— Najważniejszego zabytku już nie ma. Sołonał dom, który leżył sobie lat prawie trzysta, wybudowany w tych czasach, gdy Irkuck był jeszcze ostrogiem.

Dzisiaj Irkuck zyskał sobie miano akademickiego, piata część mieszkańców stanowiła studenci. Pierwszy na świecie Biały Dom, zbudowany jeszcze przed wojną, oddał w dawny pałac gubernatorski przekształcony w bibliotekę uniwersytecką, oddając najbardziej reprezentacyjny budynek w pacht studentom. Widziałem tam kilka pozycji bibliotecznych, które przyprowadził Polak o skurcz gardła: wśród nich receptariusz przywieziony przez wyemigrowałego z notatkami robionymi na marginesach.

Ale to była już pora wakacji, koniec czerwca, miasteczko politechniczne za Angarą opustoszało i nawet centralne ulice Irkucka żyły o tej porze roku jakimś innym, zwolnionym rytmem. Bez studentów Irkuck wiele tracił na swoim wyglądzie

BOLESŁAW WŁODZIMIERZ
LEWICKI

Moja Norymberga

Z politycznym problemem Niemiec, z jego hitlerowską ostrością i brutalnością, zetknąłem się na żywo wiosną 1939 roku. Zostałem wtedy kierownikiem programowym Rozgłośni Toruńskiej Polskiego Radia. Dla młodego człowieka był to awans niezwykły. Praca nie należała do łatwych. Nasza rozgłośnia, posiadająca studia nagrań także w Bydgoszczy i Gdyni, nastawiona była na problematykę antyhitlerowską, oczywiście w ramach, na jakie pozwalała ówczesna rzeczywistość. Podlegaliśmy przecież cenzurze szalejącej ze swoimi ograniczeniami, a z drugiej strony Wydział Wojskowy naciskał, żeby dawać odpór powodzą kłamstw głoszonych przez propagandę hitlerowską. Radziliśmy sobie jakoś. Widać nie najgorzej, skoro gestapo poszukiwało mnie potem.

Kampanię wrześniową przeszedłem jako żołnierz. Zaraz po kapitulacji Warszawy pracowałem w SZP (Służbie Zwycięstwu Polski), kierowanej przez generała Tokarzewskiego — jak wiadomo — przekształconej później w ZWZ i AK. Życzliwi ludzie ostrzegli mnie, że w Toruniu jestem poszukiwany przez hitlerowców. Trzeba było zdecydować się na ucieczkę. Razem z podchorążym Pileckim i porucznikiem Librowiczem postanowiliśmy wyruszyć do Francji. Ale stało się inaczej. Złapano nas za Sanokiem, w Bieszczadach. O Librowiczu wiem, że zginął potem, w czasie wojny. Pilecki wstąpił się w oświęcimskim ruchu oporu. Dla mnie zaczęły się obozy koncentracyjne. Wiśnicz, Oświęcim, Gross Rosen, Dachau, Flossenbürg, Pottenstein...

Pottenstein położone jest w pięknej okolicy. To górna Frankonia między Beyreuth a Norymbergą. Ojczyzna Wagnera. Tam właśnie znajdują się owe słynne groty sprzed miliona lat. Oboz w Pottenstein był bardzo mały, przeznaczony dla kilkuset osób. Był to jeden z tzw. „Nebenlager” — obozów pobocznych. Jego więźniowie wznosili koszarę oraz budynki wypoczynkowe dla SS... Pod koniec wojny do Pottenstein ewakuowano kilka oddziałów sztabu głównego Himmlera, a w słynnych grotach postanowiono zamurować kilkanaście skrzyń tajnych dokumentów. Dotyczyły one sprawy ukrytej pod kryptonimem „Ahnenerbe” („dziedzictwo przodków”). Były to badania „naukowe” prowadzone przez specjalne oddziały na żywych więźniach obozów koncentracyjnych. Do Pottenstein przybyły protokoły z tych badań i bogaty materiał fotograficzny. Dokumenty należało przesłać prosiłkiem przeciwko wilgoci, powkładając między karty słowników, encyklopedii i innych ksiąg, przewiezionych ze zbiorów instytutu speleologicznego i archeologicznego z Monachium i Norymbergi, a potem odpowiednio zabezpieczone ukryć i zamurować w grocie. Zamiast jednak użyć do tej pracy ludzi, którzy nie wiedzieli, co dostają do rąk, komendant obozu powierzył zajęcie kilku więźniom, z których dwu posiadało wyższe wykształcenie. To byłam właśnie ja i Czech — inżynier Wawra. Dlaczego akurat my? Komendanta zobowiązano telefonicznie, aby zadanie wykonali ludzie czysti, którzy nie zabrudziliby dokumentów. Widać odpowiedział tym wymogom... Komendant przytłaczał nam jeszcze specjalną ostrożność — „dostajecie do rąk ważne dokumenty, żeby mi ani jeden nie został uszkodzony!” I tak trafiliem do zbiorów, którymi zawiadywał osobiście znajomy Hitlera, speleolog — profesor Brandt.

Praca nad chowaniem dokumentów trwała przez koniec zimy i przedwiosnie 1945 roku. Zbliżał się front. Do obozu przyjechała komenda, któremu kazano rozstrzelać ludzi pracujących przy tajnych aktach. Niewątpliwie spotkałoby nas to, gdyby nie... komendant. Przewidywał, że Niemcy nie pociągają już długo. Stwarzał sobie alibi na przyszłość. Był tym, który nikogo w obozie nie zabił, żarcie dawał lepsze. Ostat-

Dalszy ciąg na str. 4

Dalszy ciąg na str. 3



Bez przesady można stwierdzić, że wizyta prezydenta de Gaulle'a w Polsce znalazła się w centrum zainteresowania świata politycznego. Jej znaczenie, co zresztą można było przewidzieć, wybiegło daleko poza granice Polski i Francji, chociaż w toku rozmów stosunki bilateralne zajęły wiele miejsca.

W uchwyceniu zagadnień, jakie dyskutowano, znalazły się najpilniejsze problemy współczesnego świata: interwencja Stanów Zjednoczonych w Wietnamie, agresja Izraela na kraje arabskie a przede wszystkim Europa i jej bezpieczeństwo. Komentarze prasy zagranicznej jeszcze przed zakończeniem wizyty wydobywały z warszawskich rozmów głównie dwa nurty: wietnamski i europejski.

I tak np. w „Paris Jour” czytaliśmy: „Międzynarodowa opinia publiczna zastanawia się nad przyczynami, dla których konflikt wietnamski zajmuje, jak się wydaje, poważne miejsce w rozmowach warszawskich. Francja wychodzi z założenia, że wszystkie problemy europejskie zależą od odprężenia, a ponieważ odprężenie, porozumienie i współpraca w Europie związane są z odprężeniem międzynarodowym w ogóle, sprawa ta niepokoi Europejczyków zarówno na Zachodzie, jak i na Wschodzie. A konflikt wietnamski jest dziś najpoważniejszym niebezpieczeństwem, ciężącym nad odprężeniem międzynarodowym...”

„Paris Jour” nie myli się — dopóki trwa agresja w Wietnamie i gwałci się prawa mieszkańców jego południowej części do decydowania o swoim losie — nie może być klimatu odprężenia i skutecznego rozstrzygnięcia innych ważnych problemów międzynarodowych.

Są jednak i dodatkowe powody, dla których w toku polsko-francuskiego dialogu powtarzała się kwestia wietnamska. Zaliczyć do nich trzeba: przekonanie obu stron, że nie może ona znaleźć innego rozwiązania poza politycznym oraz fakt, że Francja — z uwagi na swe własne doświadczenia, a Polska — z uwagi na udział w międzynarodowej komisji kontroli w Wietnamie — są szczególnie zainteresowane przywróceniem tam pokoju.

Kiedy oddaje komentarz do druku, wizyta francuskich gości, dobiega końca, ale nie ma jeszcze dokumentu o rozmowach. Mimo to można przewidzieć, że deklaracja potwierdzi zbieżność poglądów obu stron na pilną potrzebę i kierunek rozwiązania tego niebezpiecznego problemu. Wynik warszawskich rozmów może mieć tutaj dalekośrobowe rezultaty.

I drugi nurt rozmów, który najbardziej zainteresował zagranicznych komentatorów — nurt europejski.

Polska i Francja, stego doświadczone przez II wojnę światową, przejawiają szczególną troskę o losy Europy, która w przekonaniu obu stron powinna stać się kontynentem bezpiecznym i współpracującym.

Podstawowym warunkiem tego jest uznanie, przez wszystkie europejskie państwa zasady nie naruszalności granic.

Prezydent de Gaulle — jak wszystkim wiadomo — w 1959 roku uznał granice na Odrze i Nysie. To stanowisko Francji ponownie wyrzucił w dniu przyjazdu do Warszawy mówiąc o Polsce „w granicach, które są i powinny pozostać jej granicami”, a następnie w ciągu trzydniowej podróży po kraju, w Sejmie oraz w przemówieniu przed kamerami TV.

Podkreślenie tego już w pierwszym dniu wizyty w Polsce ma szczególne znaczenie wobec ciągłych prób kwestionowania naszej zachodniej granicy przez Bonn.

Właśnie w tych dniach na łamach francuskiego „Combat” ukazała się wypowiedź kanclerza Kiesingera, której fragment brzmi:

„Z pewnością nie możemy zamykać oczu na fakt, że niejedyn polityk świata zachodniego uważa również, iż rezygnacja z niemieckich terytoriów wschodnich jest ceną, jaką Niemcy powinni zapłacić za wojnę rozpoczętą i przegraną przez Hitlera. Nie podzielamy tej koncepcji”.

Wprawdzie oficjalne kółka berlińskie ogłosiły deklaratywnie, że Kiesinger nie udzielił wypowiedzi „Combat” — nie zmienia to jednak sytuacji. Te same kółka przyznają bowiem, że słowa te wypowiedział Kiesinger na zjeździe jednego ze związków przesiedleńców.

Rzecz zrozumiała, że wtedy, kiedy politycy NRF nie chcą się wyrzec rewanżu i odwetu, kiedy „nie podzielają koncepcji rezygnacji” — wypowiedź de Gaulle'a, raz jeszcze potwierdzająca stanowisko Francji, bardzo ich niepokoi.

Znalazło to swój wyraz na łamach prasy zachodniowietnamskiej. Niektóre z gazet, jak na przykład „Der Tagesspiegel” dochodzą przy tym do następujących rozważań:

„Powstało pytanie — czy prezydent de Gaulle, reprezentując ten pogląd, jest osamotniony wśród naszych przyjaceli? Uważamy, że tak nie jest... De Gaulle nie robi ze swoich poglądów żadnej tajemnicy w przeciwieństwie do innych zachodnich mężów stanu. Faktem jest jednak, że wszyscy oni podzielają pogląd de Gaulle'a”.

Z tych to przyczyn w dużej mierze rozmowy polsko-francuskie tak żywo interesowały komentatorów.

Dużą część dialogu warszawskiego, rzecz oczywista, wypełniły stosunki dwustronne na płaszczyźnie politycznej, ekonomicznej, kulturalnej, technicznej. W wyniku rozmów otworzyły się perspektywy konsultacji politycznych i dalszego rozwoju współpracy między naszymi krajami, które łączą przecież głęboka więź historyczna i geograficzna oraz — jak mówił Edward Ochab — „historyczna prawda o wiekowej i ciągłej żywej zbieżności żywotnych interesów narodów Polski i Francji”.

W. SŁAWSKI

Tkronika Tygodnia

■ „Paris Match” opublikował wyniki ankiety, przeprowadzonej przez francuski Instytut Badania Opinii Publicznej, poświęconej wizycie prezydenta de Gaulle'a w Polsce. 67 proc. Francuzów biorących udział w ankiecie wyraziło życzenie, by gen. de Gaulle w czasie pobytu w Warszawie mówił o zbliżeniu między Wschodem a Zachodem, 49 proc. — o sprawie zjednoczenia Niemiec. Na pytanie, który z krajów Europy wschodniej wzbudza największą sympatię u Francuzów, 41 proc. wymieniło Polskę.

■ Pronaserowski dziennik libański „Al Anwar” zamieścił artykuł, w którym twierdzi, że spisek wojskowy w Kairze miał na celu nie tylko zmuszenie Naserę do przywrócenia marszałkowi Amerowi poprzedniej pozycji, ale zakładał również obalenie prezydenta Naserę i zastąpienie go generałem Boghadi, byłym wiceprezydentem, zdymisjonowanym z uwagi na opozycję wobec polityki wewnętrznej Naserę i uważanym za reprezentanta tendencji proamerykańskich.

■ Leonid Breżniew: „Ostatnie wydarzenia w Chinach dowodzą, że Mao Tse-tung i jego poplecznicy zagrażają rewolucyjnym zdobyciom narodu chińskiego. To, co grupa Mao Tse-tunga nazywa „rewolucją kulturalną” słuszniej byłoby nazwać konirrewolucją”.

■ Pentagon: amerykańskie ministerstwo obrony, podało do wiadomości, iż wg jego oceny liczbą wyrzutu rakiet ziemia-powietrze, znajdujących się w Wietnamie, Re publice Demokratycznej wynosi obecnie ponad 200. Przed rokiem liczba ta nieco przekraczała 100.

■ Związek Radziecki uruchomił ostatnio nawigację z Europy do Japonii przez Arktykę. Prasa japońska podaje, że odcinek drogi morskiej łączący Londyn z Jokohamą przez Ocean Arktyczny wynosi 12.000 km i może być pokonany w ciągu 25 dni, podczas gdy droga Londyn — Jokohama przez Kanał Sueski wynosi 21.000 km, a podróż trwa 40 dni. Północna droga morska była dotychczas zamknięta dla obcych statków.

■ Gubernator stanu Michigan i potencjalny kandydat na prezydenta z ramienia

późniejszym zbadaniu sytuacji w Wietnamie zmienił zdanie „i nie wierzę już, że nasze zaangażowanie w Wietnamie Południowym dla powstrzymania komunistycznej agresji w południowo-wschodniej Azji było rzeczywiście niezbędne”.

■ „Literaturna Gazieta” o liście radzieckiego poety Andrzeja Wozniesińskiego: „Poeta Andrzej Wozniesiński wystąpił do dwóch organizacji moskiewskich list (...) Ale dziwna rzecz: list Wozniesińskiego, który popchnął grubą nielakt wobec swoich kolegów literatów i całego Związku Pisarzy, w niepojęty sposób znalazł się w redakcyjnej szeregach zachodnich dzienników i rozgłośni radio wych. Te zaś niezwłocznie wykorzystywały list dla kolej-



Austaub

SONNTAG-Karikatur
Werner
Leinert

Grecja: Wielkie zmiany

nych oszczerczych ataków antyradykalnych. Wozniesiński miał całkowitą możliwość udzielenia odpowiedzi na wysłanki propagandy burżuazyjnej. Nie uczynił tego”.

■ Trzystu policjantów miasta Youngstown w stanie Ohio podjęło decyzję przystąpienia do strajku, dopóki administracja miasta nie zgodzi się na zwiekszenie poborów policji o 1.200 dolarów w stosunku rocznym.

■ Premier Czu En-laj wydał pięciopunktowe zarządzenie zabraniające członkom czerwonej gwardii atakować misje dyplomatyczne w Pekinie. Zarządzenie jest rezultatem — jak się uważa w Pekinie — ostrej krytyki Komitetu Centralnego wobec ostatnich incydentów, których ofiarą stała się brytyjska

ludność arabska odmawia współpracy z okupantem.

■ Profesor Oldham z uniwersytetu Sussex, w południowej Anglii, wyraził przekonanie, że Chiny będą w stanie w końcu tego roku przeprowadzić eksperyment z międzykontynentalnym pociskiem balistycznym uzbrojonym w głowicę atomową. Wyraził również pogląd, że ostatnia eksplozja chińskiej bomby wodorowej była ogromnym wyczynem naukowym i technologicznym. „Czystość” bomby także również przypuszczać, że Chiny będą w stanie w szybkim czasie zminiaturyzować tę bombę dla celów operacyjnych”. Profesor Oldham oświadczył, że nauka

zanim ją dokładnie zanalizuje” — stwierdza rozgłosna.

■ Ankieta przeprowadzona ostatnio wśród katolickich duchownych w Stanach Zjednoczonych wykazała, iż ogromna ich większość — 87% — wypowiada się za doprowadzeniem do wojskowego zwycięstwa w Wietnamie. 70% zapytanych wypowiedziało się przeciwko rozszerzeniu stosunków gospodarczych z krajami socjalistycznymi, 85% — za zaminowaniem Hajfonu.

■ Anglikański biskup Kalifornii Klimar Moyers oświadczył, że Stany Zjednoczone spadły „na dno moralnej degradacji” i nie są w stanie współzawodniczyć z rewolucyjnym ruchem w świecie. „Amerykanie utracili swą wizję wolnego społeczeństwa, zamieniając na stałe miliony Amerykanów w pulapce, jaką stanowi głód i ubóstwo”.

■ AFP: Wydaje się, że Harlem dojrzał do spowodowania wybuchu „organizowanych aktów przemocy”. Największe getto murzyńskie świata dojrzało w tym sensie, że panują tam nastroje gniewne i bojowe oraz że getto dysponuje większą ilością broni niż inne amerykańskie środowiska murzyńskie.

■ Najwyższy organ partyjny i administracyjny w socjety chińskiej, Komitet Rewolucyjny Pekinu, wydał ściśle zarządzenia w sprawie zaprzestania walki zbrojnej na terenach podległych jego jurysdykcji oraz zalecił skoncentrować szczególną uwagę wszystkich organizacji na zagadnieniach związanych z produkcją. Agencja Tanjug pisze, że zarządzenia te są wyrazem ponownego pojawiania się umiarkowanych tonów rewolucji kulturalnej.



SONNTAG-Karikatur
Professor Leo Haas

Nie upadajcie chłopcy na duchu: umieracie dla sprawy, która jest mi droga.

partii republikańskiej — George Romney oświadczył w wywiadzie telewizyjnym, że w czasie swej wizyty w Wietnamie, w roku 1965, „podany został największemu praniu mózgu, jakie można przeżyć przybywając do Wietnamu. Przeprowadzali je nie tylko generałowie, ale i tamtejszy korpus dyplomatyczny i to przeprowadzali bardzo dokładnie”. Romney dodał, że po

placówka dyplomatyczna w stolicy Chin. Agencja Reuters pisze, że Mao Tse-tung miał osobiste polecieć opracowanie i wydanie takiego zarządzenia, twierdząc „Nasza walka powinna być prowadzona w sposób cywilizowany”.

■ Szef wywiadu wojskowego ZRA, Salah Nasr zwoleńcy został z zajmowanego sta-

chińska może prześcignąć poziom nauki krajów zachodnich w ciągu najbliższych 20-30 lat.

■ „Washington Post”: „Nie widać żadnych oznak zmiany, w postawie władz południowowietnamskich. Korupcja i markieractwo są tak

BOLESŁAW WŁODZIMIERZ LEWICKI: dziś znany i zasłużony teoretyk filmu, dydaktyk i naukowiec, 22 lata temu — podporucznik w służbie Międzynarodowej Komisji Tropienia Zbrodni Hitlerowskich. W czasie wojny — więzień obozów koncentracyjnych w Wiśniczu, Oświęcimiu, Gross Rosen, Dachau, Flossenbuerg i Pottenstein. Oto jego wspomnienia.

Moja Norymberga

Dalszy ciąg ze str. 1

nie pół roku przeżyłem więc względnie spokojnie. Kiedy przyszedł rozkaz rozstrzelania, komendant postanowił nie wykonać go. Nie bacząc na jego sprzeciw, jeden z żołnierzy komando puścił w stronę naszej grupki więźniów serię z karabinu. Przekonałem się wtedy, że nie wszystkie kule zabijają — nikogo z nas nawet nie zraniły. Niektórzy upadli na ziemię, markując, że zostali trafieni. I wówczas zobaczyliśmy rzecz zdumiewającą: komendant w naszej obecności uderzył niemieckiego żołnierza. Zostawiono nas w spokoju. A potem wypadki potoczyły się już tak szybko, że nie zdążyliśmy nas wykonać.

Wyzwolenie przyszło 16 kwietnia 1945 roku. Przybyli Amerykanie. Skąd wiedzieli o naszym obozie? Powiadomili ich o tym Niemcy, którzy komuniści. Było trochę strzelaniny. Nie wiedzieliśmy właściwie na samym początku, co zrobić z tą wolnością. Po kilku godzinach, kiedy lizaliśmy jakos naszą ranę, nastąpił cud numer 1. W masie niedawnych więźniów wjechał amerykański samochód wojskowy, na którym stanął wraz z kilkoma ludźmi i tłumaczem oficer-wyzwoliciel. Zarządzono ciszę. Oficer wywołał parę nazwisk, wśród nich moje. Kazał nam, zdumionym, powędrować do majora — komendanta oddziału amerykańskiego. Zastaliśmy go w całym blasku dobrego munduru, ogolenia i zwycięskiej broni. Urzędował w ratuszu. Na ręce naszej piątki złożył oficjalne ogłoszenie uwolnienia przez wojska alianckie i gratulacje z tego powodu. Oświadczył uroczysto, że sprzymerzone armie alianckie dobijają niemieckich faszystów i maszerują naprzód. Potem oznajmił, że stanowią komitet wyzwolenia więźniów i mamy zorganizować oswoobodzony powrót do domu, a alianci udzielali nam będą pomocy.

— Czy znacie ich? — zapytał wskazując kilku niezmiernie wystraszonych mężczyzn, stojących pod ścianą. Znalizmy z widzenia. Byli to mieszkańcy Pottenstein.

— Którego z nich zrobił burmistrzem? — indagował major. — Wskazaliśmy piekarza, podzuchal nam czasem chleb do obozu. Major przyjął wybór. — To będzie twoja rada doradca — oświadczył zdumionemu piekarzowi wskazując pozostałych Niemców. — A ci — gest w naszą stronę — to wasza faktyczna władza...

Cała historia z majorem stanowiła jednak tylko preludium do tego co miało na-

stąpić. Kiedy wyszliśmy z ratusza, dokonał się cud numer 2. Sceneria: plac przed ratuszem, typowo wojenny bałagan, jakiś czołg niedaleko gospody. Z niej to właśnie wyszło kilku oficerów. A między nimi — nasz kolega obozowy w nowińskim alianckim mundurze, choć bez dysfunkcji jeszcze. Zniknął z obozu w zamieszaniu poprzedniego wieczoru... Był to Louis — rzekomy Belg, który pracował jako rysownik w obozowym biurze technicznym. Okazało się, że więzień ten był agentem angielskiego Intelligence Service. Wtedy wyjaśnił się tajemnica naszych nazwisk, wybranych przez amerykańskiego oficera. Trzem osobom Louis zaproponował współpracę z wojskami na tyłach, konkretnie: 1° — wypływanie hitlerowców, 2° — zbieranie dowodów uścisłu hitlerowskiego. Oczywiście zgodziliśmy się, cała trójka: ja, Konrad Kant — również Polak, rzekomy szewc, a naprawdę oficer polskiego kontrwywiadu i Hans Koefler — Austriak. Dostaliśmy alianckie przyodziewek, Kant i ja z nazwiską „POLAND“ haftowaną srebrnymi nćmi na czerwonej wstążeczce.

Stało się tak, jak gdyby ktoś zaczął puszcząć od tyłu wyświecony już film. Rozmowywałyśmy schowki w grotach, wydobywałyśmy z uczonych ksiąg tajne dokumenty. Potem — sortowanie i opis. Przygotowywałyśmy to wszystko do jakiegoś przyszłego procesu, nie wiedząc jeszcze, że odbędzie się on w Norymberdze. Razem z nami pracowało kilku Amerykanów i Anglików oraz niemieckich antyfaszystów. Niemcy pełnili na ogół tylko funkcje pomocnicze. Ważniejsze zadania wykonywał jedynie profesor Ryszard Eri — kustosz z Muzeum Archeologicznego z Norymbergi. Jego pomoc była w naszych pracach szczególnie cenna.

Brałem udział w obławach i rozpoznaniu kilku hitlerowców. Z ciekawych spraw — rozpracowałem pułkownika z Hauptsturmführerze dr Adolfe Rampfle, adiutanta Hitlera do akcji „naukowej“ „Ahnenerbe“. W chwili wkraczania wojsk wyzwolenieczy zabili żonę i córeczkę, potem popełnił samobójstwo.

Wspomniany już przeze mnie profesor Brandt, mający nadzór nad ewakuacjami, cieszył się opinią ludzkiego i łagodnego.

Przystawał czasem przy więźniach, często wał papierosami. Jak to pozory myli! W jego listach znalazłem korespondencję z Hitlerem. Niemcy są systematyczni — w prywatnej tece był także odpis sensacyjnego listu do Fuehrera. Brandt powoływał się w nim na życliwość adresata i skarżył że chociaż z powierzonych mu prac „naukowych“ wywiązywał się jak najlepiej, to jednak jako bytemu oficerowi jest mu przykro, że musi siedzieć w gabinecie, podczas gdy naród niemiecki waczy. Prosił więc Fuehrera, aby przeznaczył go do akcji bezpośredniej: do ostatecznej likwidacji jugosłowiańskich „terrorystów“. Brandt badał przed wojną chorwackie grotty, miał w Jugosławii znajomych, sądził więc, że łatwo dotrze do „bandytów“. Czy prośba jego została spełniona — nie wiem, Nie dostaliśmy go w nasze ręce.

Historia z Brandtem miała pikantny epilog. W kilka miesięcy później, kiedy zasnąłem opalając się w leniwe, lipcowe popołudnie, zbudził mnie chłopiec przysłany przez Erla i wzywający do niego. Poszedłem. Profesor Eri kompletnie był roztrzęsiony. — Brandt był tutaj — oznajmił. Przyjechał alianckim samochodem, z brytyjskim oficerem. W cywilnym ubraniu, oczywiście. Pokreślił się po mieszkaniu wziął kilka książek. Na pożegnanie powiedział do Erla:

— Wiem, że musisz tu pracować. Nie przejmuj się, ja wrócę tu niedługo. Nie daj się temu Polakowi, który z tobą pracuje.

A posterunek amerykańskiej żandarmerii był przecież tuż obok nas. Jego oficer wściekł się, kiedy dowiedział się o wizycie Brandta, ale nic nie mógł zrobić...

Kiedy opracowywałem dokumenty o doświadczeniach z luizytem, wiedziałem już, że pracuję dla Norymbergi. Luizyt, podobnie jak iperyt jest bojowym gazem parzącym. Doświadczenia z nim przeprowadzano na żywych więźniach w Buchenwaldzie. Poddano im kilkadziesiąt osób. Obserwowano, jak organizm reaguje na poparzenia, kiedy następuje śmierć. Wszystko starupulatnie opisywano i fotografowano. Wstrząsające dokumenty...

Pod koniec lata oświadczone i mnie i Kantowi, że jesteśmy już niepotrzebni. Z piśmami potwierdzającymi w języku angielskim i niemieckim, że pracowaliśmy nad tropieniem zbrodni hitlerowskich, opuściliśmy Pottenstein.

Z Norymbergą i procesem zetknąłem się w jakiś czas później. Przydzielono mnie do oddziałów pomocniczych pilnujących obozów z więźniami SS-manami. Byłem oficerem załogi wartowniczej w miejscowości Hohenbrunn pod Monachium. Jakże te obozy różne były od tych, w których nas więziono! Amerykanie traktowali SS-manów w sposób bardzo umowny. Dawali im nawet urlopy okolicznościowe... Ucieczki były niesłychanie łatwe. Ale, muszę przyznać, więźniowie raczej nie uciekali. Gorzkie wyniosłem stamtąd doświadczenia. Amerykanie

lepiej czasem odnosił się do swych więźniów niż do nas — wolnych Polaków. Przewidywali, że zechcemy wracać do kraju. Nie darzyli nas sympatią...

Z Hohenbrunn robiłem czasem wypad — do Monachium, do Norymbergi. Kiedyś wybrałem się z drugim polskim oficerem, zatrudnionym w YMCA, do kina na „Todesmühlen“ („Młyny śmierci“) — amerykański reportaż o okropnościach hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Amerykanie wpadli na pomysł, aby w ramach reedukacji pokazać Niemcom ten film obowiązkowo; kto go nie obejrzał, nie dostał kartek żywnościowych. Kino było więc zapelnione. Zasiedliśmy z kolegą w honorowej łozie. Gdy na ekranie ukazały się zwaly trupów, a komentarz mówił o milionach ludzi pomordowanych w obozach koncentracyjnych na sali rozległy się krzyki: „Zu wenig! Zu wenig!“ („Za mało!“). Kazaliśmy zapalić światło. Na sali zaległa żenująca cisza. Lecz gdy ponownie zrobiło się ciemno, gwizdy zagłuszały wszystko... Byliśmy bezsilni. Wzburzeni, mogliśmy tylko po prostu opuścić salę...

Innym razem, szedłem monachijską ulicą w towarzystwie porucznika Edwarda Sikorskiego. Nagle podbiegł do nas Niemiec, krzycząc, że był w obozie koncentracyjnym i oto rozpoznał w policjancie, tu na ulicy strażnika obozowego. Zbiegło się trochę ludzi. Policjant był nieco zażenowany. Nadjechał patrol MP. Amerykańscy żandarmi odpędzili krzyczącego Niemca. Nas bardzo dokładnie wylegitymowali i oświadczyli: nie pachnie nosa w nie swoje sprawy tamten — wskazali na policjanta — ma papiery w porządku...

Byłem kilka razy w Norymberdze w czasie procesu. Widziałem budynek, w którym więziono oskarżonych i słynne zmiany warty przed budynkiem sądowym — co dzień inna narodowość, kolejno: Rosjanie, Francuzi, Anglicy i Amerykanie. Kolana Szkotów wystawione na ostry mróz spod kracastych spódniczek przybierały czerwony odcień... Na słynnym olbrzymim stadionie pod Norymbergą Amerykanie lirycznie kopali piłkę... Do Sądu nie wpuszczano nas. Byłem przecież tylko pionkiem śledczym. Wtedy nie miałem jeszcze poglądu na całość procesu. To przyszło dopiero potem. Z tamtych czasów zostało mi prywatne przekonanie, że jedynie Rosjanie i Francuzi traktowali na serio proces i cały rozrachunek z hitlerowskimi Niemcami.

Kiedy siedziałem w obozach, wydawało mi się, że gdyby role odwróciły się, wiedziałbym dobrze, co zrobić z SS-manami, jak pomścić krzywdy, których byłem świadkiem. Znalazłem do tego okazję, gdy pilnowałem SS-manów we wspomnianym obozie w Hohenbrunn. Teraz rolę były rzeczywście odwrócone. Dawni SS-mani stali w szeregach wyprężeni na baczność, a ja w mundurze oficerskim dokonywałem przeglądów i kontroli. Nawet nie uderzyłem nikogo... Słabość, czy humanitaryzm? — Nie wiem, nie umiem odpowiedzieć.

Notowała: EWA SIEMIŃSKA

Nożycami przez PRASĘ

„WESTERPLATTE“

Mówi autor scenariusza:

W związku z tym filmem Marek Skwarnicki zamieścił w „Tygodniku Powszechnym“ rozmowę ze świetnym pisarzem, autorem scenariusza — Janem Józefem Szczepańskim (nie mylić ze znakomitym socjologiem!). Napisanie scenariusza nie było łatwe. Bohaterska walka, dramatyczna obrona z dnia na dzień i z nocy na noc, to w innych kategoriach bardzo wiele, to kartka w historii, ale w kategoriach pełnometrażowego filmu? Wieg J. J. Szczepański rozwinął wątek psychologiczny „olmienneści postaw dwóch oficerów — dowódców: Sucharskiego i Dąbrowskiego“.

Czy ta odmienność istniała naprawdę?

— O, tak. Do tej pory w ocenie ówczesnych wydarzeń pozostali przy życiu uczestnicy obrony dzielą się na dwie grupy. Jak to wśród kombatanów...

Różnice pomiędzy Sucharskim i Dąbrowskim spowodowane były głównie odmiennością ich charakterów. Sucharski pochodził ze wsi, oficerem został w czasie walk legionów Piłsudskiego, odznaczał się bardziej pragmatyczną postawą wobec świata niż Dąbrowski, reprezentujący wyraźnie poszłachecki romantyzm i poczucie ślawniczego honoru. Chcę przez to po prostu powiedzieć, że Sucharskiemu było trudniej przystosować się do sytuacji, inaczej reagował, nieco odmienne miał poczucie odpowie-

dzialności jako dowódcy. Z perspektywy lat — dodaje Szczepański dobitnym tonem — postawa irracjonalna, wymierna niekiedy potem, była najbardziej racjonalna i dała najwięcej. Była jedyna i najwłaściwsza w ówczesnej sytuacji. Ale decyzje Sucharskiego były słuszne.

Na czym się opierał Szczepański?

— Na drukowanych pamietnikach kpt. Franciszka Dąbrowskiego i zapiskach majora Henryka Sucharskiego. Korzystałem jednak i z relacji żyjących uczestników walk. Prawdę mówiąc, z ich dalszych perypetii wojennych można by też zrobić niezły film.

NEOMIESZCZANIE

Maleńkie studium publicystyczne — socjologiczne, poświęcone temu ponuremu zjawisku społecznemu, p'ora Antoniego Piekara znalazłimym tym razem w „Prawie i życiu“. Pisze „tym razem“ gdyż u satyryków od dawna w różnych sytuacjach występuje neomieszczaństwo.

Tradycyjnego mieszczaństwa łatwo było rozpoznać, wyodrębnić się. Ten raczej konspiracyjnie się kameleonoowało za pewniwą mu bezpieczeństwo.

Występuje często tam, gdzie się najmniej go spodziewamy. Neomieszczańska postawa cechuje tradycyjne, społeczne stawianie na pierwszym miejscu swego prywatnego interesu kosztem interesu tak innych osób, jak i ogółu.

Wysilki mieszczaństwa w celu skierowania swego typu skierowane są na uzyskanie i utrzymanie maksimum wygod w życiu bez względu na moralny, społeczny a nawet prawny charakter środków do tego potrzebnych. Nowe w tej postawie są formy stanu posiadania oraz akcesoria służące do jego zdobycia i utrzymania. Ale, podkreślimy — istotą jest ta sama.

I dalej:

Osobnik o postawie neomieszczańskiej często stara się korzystać z parawanu instytucji społecznej lub politycznej. Korzystając z jej sztyldu i maskując się wygłaszanymi — „do li-

ni“ deklaracjami politycznymi, a także nawet nadużywając zaufania partii ciuła swój współczesny stan posiadania. Stan ów, to najczęściej życie ponad stan, to warunki bytowania uzyskane niecierpliwie i zachłannie w sposób społecznie niełogi i częstokroć w oparciu o mowy snobistyczne.

Jego „formy organizacyjne“, jeśli tak można się wyrazić, to kilka, sitwa, towarzysystwo wzajemnej ale nie bezinteresownej adoracji.

Do kilku przyjmując się ludzi bezideowych, życiowych oportunistów, fałszywych na łatwą wygodę życiową, no i oczywiście bez skrupułów w stosunkach międzyludzkich i społecznych. Tu, szczególnie nie pożądaną są ludzie „funkcjonalni“.

Ci „ludzie funkcjonalni“ to osobnicy z „hakiem“ w zyciorwie, „hak“ oznacza jakąś ciemną sprawkę, ukrytą, ale pozwalającą na wymuszanie uległości.

Walka z neomieszczaństwem — nieodzowna — nie należy do łatwych. Pieni się on bajnie jak

niektóre chwasty i pa-sożyty.

Te przewencyjne role spełnia głównie świadomość odpowiedzialności przed silną dojrzałą i świadomą rzeczy opinią publiczną, opinia dysponująca skutecznymi środkami krytyki oraz gwarancjami ochrony krytyki przed szykanami. Kiedy natomiast brakuje demokracji i w tym społecznym mechanizmie, wtedy automatycznie powstają, typowe już, czynnik ograniczające zdrowe reakcje społeczne. Zaangażowanie ustępuje ostrożności i konformizmowi. Ideowość — prywacie i karierowiczostwu.

TUMIWIŚM Z POMYŚLUNKIEM

To zjawisko towarzyszące pojęciu neomieszczaństwa, Niebalsztwo, lekceważenie obowiązków, lenistwo. A wszystko kożstem społecznym.

Oto rozpoczął się nowy rok szkolny nie wszędzie dotrzymano obietnic remontowych. Jakż to budujący przykład dla dzieci i młodzieży, która z reguły odznacza się

wyostrozonym zmysłem obserwacyjnym! Aleksander Rowiński — znomy „Prawo i Życie“ — kończy felieton gorzką refleksją i charakterystycznym anegdotą:

Dyscypliny żąda się i egzekwuje się ją u nauczycielstwa i uczniów. Tymczasem, na pierwszej w roku szkolnej lekcji, pokazuje się im praktycznie, jak wygląda u nas dyscyplina gospodarza. Jeżeli jest to właścicielka pedagogika, to należy — zamiast przykładów z Wielkimi Pozytywistami, omawiać na zajęciach przykład jedne go takiego, co jeździł po placu budowy z taczka, ale trzymając ją dnem do góry. Kłós go zaczęli — coś ty wariat — powiada — jak ty wozisz też taczke, niki tak nie wozisz taczki. — Wariat — mówi tamten — wariat to ja byłem wczoraj, wozilem ją odwrotnie i ktoś mi nasypał piasku.

I to także — wbrew pozorom — nie jest awaria głowy, to swoisty pomyślnunek.

Niestety anegdota niczego nie zatawia. Nawet nie pociesza.

JAN OLECHNO

Przeklęta błogosławiona

Dalszy ciąg ze str. 1

Mark doradził mi wyjazd nad Bajkał, nazywany tu rozmaicie, morzem i jeziorem. Buriaci, którzy koczowali w tych stronach najwcześniej, nazywają Bajkał Jeziorem Ognistym.

Można popłynąć „rakieta” z szybkością pociągu pośpiesznego, samochodem jedzie się dużej. Wybrałem samochód, jechaliśmy 60 km szosą pełną zakrętów i niebezpiecznych zjazdów, aż do miejsca skąd wypływa Angara, nieopodal Limnologicznego Instytutu, stworzonego nad Bajkałem i dla Bajkału. Oto podstawowe informacje o jeziorze, bez których trudno zrozumieć niezwykłość tego zbiornika wodnego i legendy, które powołała do życia wyobraźnia ludu:

„Zajmując siódme miejsce na świecie pod względem powierzchni zwierciadła wodnego, a drugie pod względem objętości wodnych mas, Bajkał mieści w sobie dziesiątą część zasobów światowych słodkiej wody w jeziorach albo dwie trzecie rocznego spływu wszystkich rzek świata. Rzeka Angara odprowadza rocznie 1/400 wodnej masy Bajkału”.

Mark pokazał mi skałę rozcinającą bystry nurt Angary.

Polak Czernski policzył pierwszy, że do Bajkału wpada trzydziście sześć rzek.

— Szamański Kamień — zauważył mimochodem.

Później w maleńkiej restauracji nad brzegiem jeziora, kiedy podano nam lokalny i światowy przysmak, omuła, rybę, zdaje się z rodziny byczków, która żyje tylko w Bajkale, Mark opowiedział mi legendę o Angarze i Kamieniu Szamańskim.

— Może ci się na coś przyda — uśmiechnął się.

— Może — powiedziałem.

Według tej legendy, Angara, jedyna rzeka, która wypływa z jeziora, niedługo jako ulubienica ojca Bajkału, mieszkająca w przepaściach tych wodach ojcowiskiego pałacu. Synów miał papa Bajkał wielu, wszystkie wpadające doń rzeki, córki zaś jedna i strzegła jej jak oka w głowie. Ale Angara oszalała z miłości do Jeniseja, który toczy swe wody na zachodzie i nie pomagały zaklęcia zakochanego w niej do szaleństwa ojca. Wtedy Bajkał polecił strzec Angary groźnym szamanom. Miłość czyni cuda. Angara zmyliła strażę, wymknęła się z ojcowiskiego pałacu. Jeden ze strażników zauważył zresztą już w ostatniej chwili ucieczkę pannicy, próbował jej zagrozić drogę. Ale Angara nie pozwoliła się zatrzymać, przewróciła szamana, który skamieniał, przemienił się w kamień, lita skałę.

Ta niesubordynacja Angary jest zbawieniem dzisiejszej Syberii, gdzie na równi z przysłowiowymi niedźwiedziami rozpięła się elektryczność i elektryfikacja. Pierwsza była Irkucka GES (Gidroelektrostantsia) uruchomiona w 1959 r., zresztą nie bez przeszkód, gdyż podczas budowy zaawansowanej budowy do wykopał wdarła się woda. Stało się to zimą, w nocy, kiedy wiał huragan, co poważnie utrudniało akcje ratunkowe. Po irkuckiej wyrosły na Angarze elektrownie następne.

Zresztą te przeobrażenia Syberii obejmują swoim zasięgiem nie tylko elektryfikację.

Geologowie powiadają, że pod względem zasobów tereny te są najboższym miejscem na ziemi. Jest tu wszystko, lub prawie wszystko. W Szelechowiu położonym o 30 km od Irkucka jest huta aluminium.

Miejscowości tej nikt nie odnajdzie na mapie wydanej jeszcze 10 lat temu, wtedy taka miejscowość jeszcze nie istniała. Tu, gdzie dziś wznosi się nowoczesny pawilon kinoteatru, dosłownie kilka lat temu komсомолcy rozbili pierwsze namioty i grzali się przy ogniskach. Jeśli ktoś wie, jak wygląda prawdziwa syberyjska zima, pojmie bez słów jak ciężki był okres pionierski. Ale zanim ktoś zdażył pomyśleć o niewygodach, zbudowano bloki mieszkalne i hute aluminium, w której znalazło zatrudnienie kilka tysięcy osób. Spory procent budowniczych zdobył nowe kwalifikacje, kwalifikacje hutników i nie ustają komсомолskie zaciągi.

Ludzie wielkiej budowy są tacy sami we wszystkich krajach świata: nie potrafia żyć bez przygody, jest tu już nie zew krwi, tylko zew techniki, cywilizacji. Kierować maszyną, która po raz pierwszy wgłębia się w twarde, surową ziemię — oto ich hasło. Do Szelechowa pojechałem w odwiedziny, za prosił mnie poeta Wiktor Sokołow, urodzony na Zabajkału, rocznik 1936. Kiedy zaczęto budowę irkuckiej elektrowni wodnej, Wiktor zaciągnął się do pracy, przyjęto go jako niewykwalifikowanego robotnika. Zabajkałe, gdzie znaleźć można samorodki złota, a o wiele trudniej zwykłą żarówkę elektryczną, wydało się Wiktorowi w Irkucku straszliwa pustynia, ale zachował do niego miłość na swój sposób: zaczął pisać wiersze. Zaproszono go nawet na kiermasz książki, gdzie poznał swoją przyszłą żonę. W Bracku, który stanowił etap kolejnej elektryfikacji Syberii i życia osobistego Sokołowa, Wiktor miał już kwalifikacje betoniarza, pracował przy stawianiu zapór. Zwrócił na siebie uwagę nie jako betoniarz, tylko jako poeta. Zwykła koleja rzeczy zaproponowano mu posadę redaktora gazety zakładowej w Szelechowiu, miał za sobą pierwszy tom wierszy „Słoneczny gaszczy”. Tylko że Wiktor, jak przystało na prawdziwego pioniera, wielkich budów, długo nie wytrzymał na redakcyjnej posadzie. Rzucił ją dla pracy bezpośrednio w produkcji, jak większość mieszkańców Szelechowa został hutnikiem. Pokazał mi piec, przy którym spędza ciężkie godziny pracy.

— Piszesz jeszcze? — spytałem.

— Był zdziwiony. Pokazał mi rekopis tomiku „Przed wschodem”, który jest już w druku.

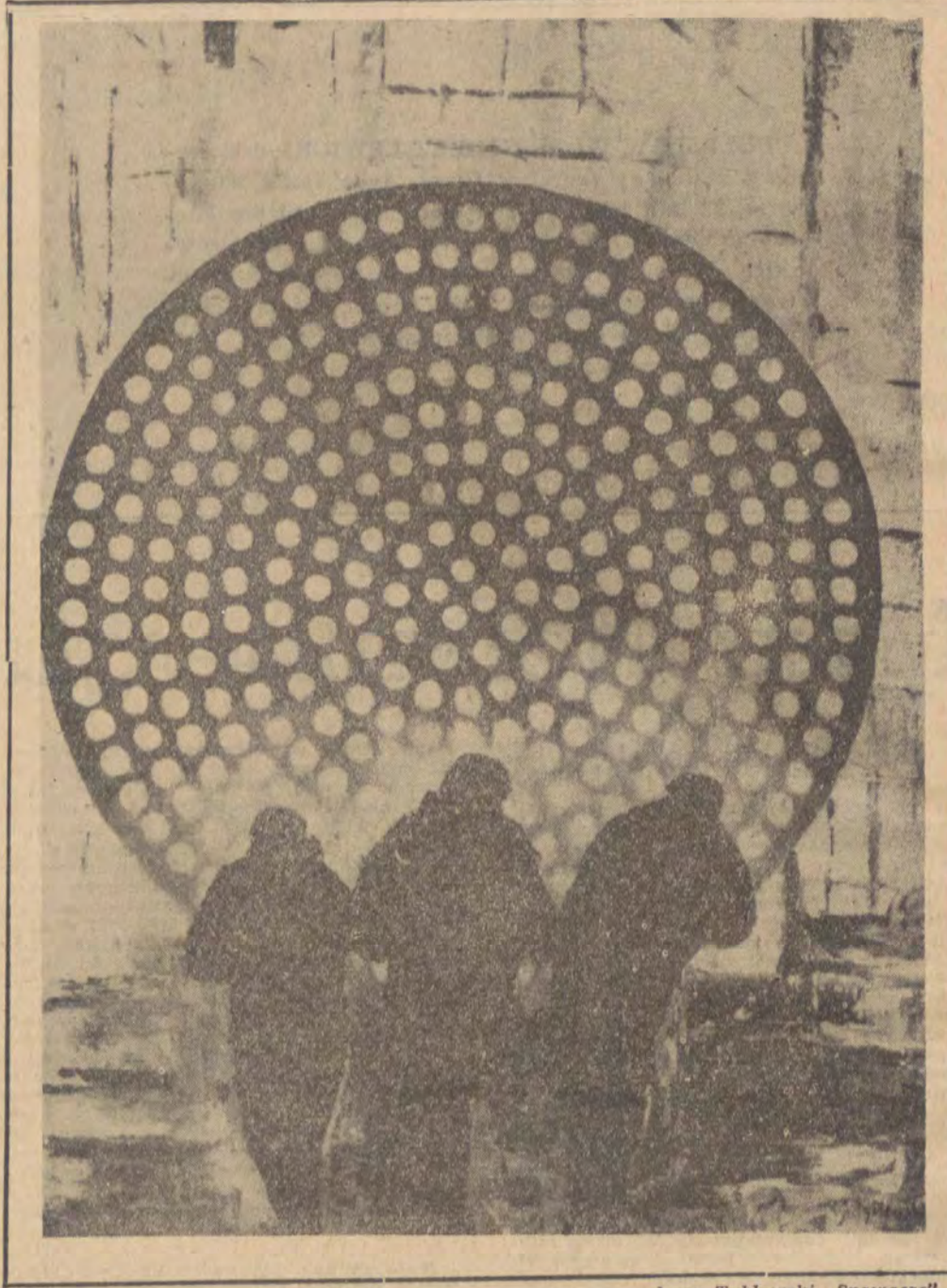
— A potem? — Zapytałem.

Zrobił tajemniczą minę. I wyciągnął swoje notatki do zamierzonej powieści o hutnikach.

Ale ludzi podobnych do Sokołowa można spotkać na Syberii niemal wszędzie. Wystarczy choćby zabrać się do samolotu lecącego na Brack i wdać się w rozmowę z przysłowiowymi pasażerami. Właśnie w ten sposób zupełnie nieoczekiwanie poznałem mieszkankę Angarską, Wierę Batową. Wzięła trzy dni urlopu, aby odwiedzić to najdalsze miasto Syberii, budowane całkowicie przez młodzież, jak ongiś Komсомолск nad Amurem.

— Wyprawa turystyczna? — Zapytałem w samolocie.

— Bo ja wiem? — Zawahała się. — U nas, w Angarsku, już stabilizacja, trochę mi się to sprzykrzyło.



Jerzy Tyblewski „Spawacz”.

Angarsk jest także całkowicie nowym miastem jednego rzutu, ale tu, na Syberii szybko widać następującą stabilizację. Za to Brack? Brack to jeszcze dziwna miejscowość, nasz AN-10 wylądował tam wieczorem. Po irkuckich ułatach zareagowałem na tychmiast gęsią skórą. Z lotniska do dzielnic Padun, gdzie w kilku domkach rozlokowany jest hotel „Inturistu”, jedzie się długo, droga jest daleka.

Brack to ogromnej mocy elektrownia wodna, kombinat leśny i aluminiowy, ale jeszcze nie miało, choć mieściła tu 140 tysięcy ludzi. Brack dzisiejszy to jeszcze zespół osiedli o sobie o wiele kilometrów oddzielnych od siebie, które łączą autobusy miejskiej komunikacji. Padun, India, Energetyk — to nazwy tylko niektórych z nich, ukrytych wśród lasów. Osiedle, które dało tu wszystkim nazwę dawno znalazło się pod wodą, zakrywa je Angarskie Morze, zapora mierzy sobie ponad setkę metrów wysokości. Ale nazwę Brack ocalono także dla jednego z nowych osiedli, jest to Brack kamienny, z szerokimi ulicami i luksusowymi sklepami.

Inżynier konstruktor Aleksiej Marczuk, który tu przyjechał w roku 1956 i zamieszkał w baraku na siedmiu metrach kwadratowych, z sentymentem wspomina tamte pierwsze chwile budującego się Bracka.

Opowiada o dokuczliwej muszce, złośliwej jak moskity, gorzej od mrozów i pożarów w tajdze. Nocne alarmy? Tajga wokół palą się coś sześćset razy, strażacy znają dokładną liczbę.

Siedzą na łódce. Marczuk należy do klubu pletwonurków, trenuje w Angarsku, której wody mają tego dnia temperaturę czterech stopni, na sama myśl o tym przejmują mnie ciarki. Marczuk mówi:

— My, Sibiracy.

Mówi jeszcze coś, czego w pierwszej chwili nie rozumiem.

— Bo wie pan, okres pionierski dobry był w pierwszych latach, dziś już nie mamy prawa przysposabiać ludzi do tych surowych warunków.

Milczy i po chwili dodaje:

— Zresztą nie ma już takiej potrzeby. A to najważniejsze.

Za kilka lat Brack będzie liczył 300 tysięcy mieszkańców. Zamieszkała w nim nowe pokolenie komсомолców, którzy zapewne na zamiejskie wycieczki w tajgę będą się musieli wyprawiać daleko podziemiem.

Nowa Syberia, ziemia, z której zniesiono pletno przekleństwa, przestała być wiezieniem. Dziś słowo niedźwiedź znaczy tu tylko niedźwiedź i nie więcej.

KONRAD FREJDICH

Szanowny Panie Redaktorze

Gdy odwiedziłem pana Konstantego, KRYŚIA długo rozglądała się po pracowni. Była zafascynowana i ledwie poognaliśmy się z gospodarzem zaraz za progiem odezwała się: „Tatku! Tak powinna wyglądać pracownia prawdziwego malarza! Tak samo ją sobie wyobrażałam. To nie to co u ciebie, gdzie wszystko równo poskładane, wymiarkowane i ułożone na swoich miejscach — a jeszcze mama dba o porządek. Musisz mnie tu jeszcze kiedy przyprowadzić, aby się lepiej przyjrzeć, bo za jednym razem nie wszystko można zobaczyć”.

A jak jest właściwie w tej pracowni (pracownia to w dużej mierze, raczej w komórkach)?

A tak:

Na suficie jest świetlik, przez który pada światło z góry uprost na podłogę. Wszystkie cztery ściany od podłogi do sufitu zawalone ramami, pildziówkami, błętkami, z naciąganim płótnem, listwami i kawałkami dyktów. Obrazy sto-

ją plecami do widza, udając, że są tylko zwykłym szarym, nie malowanym płótnem. Na podobie leżą sterty ilustracyjnych czasopism, sióga gdzieś niedługo butelki z terpentyną, olejem i werniksem, leżą porzucone pudelka z tubkami farb i pędzle. Wśród tego balaganu wąziutka ścieżka, która ledwie można dostać się na środek pomieszczenia czy do starej kanapy, która również pokryta jest naręczem ilustracyjnych albumów i książek; zaledwie brzętek wypchniętej sprężyny tłuszczyk ułożenia przycupniał.

Trochę z bólu maty plecy, na nim buteleczki, naczynia i jedne się w nich pędzle. Na jednej ze ścian antresola zamalowana znowu obrazami. Wszystko pokrywa pył — nie pył: pajęczyna nie-pajęczyna — zakurzona srebrzysta starość. Na środku, prosto pod świetlikiem stoją sztalugi; na sztalugach prostokątne pildziówki. Przed sztalugą mała paletka — na paletce pędzelek.

— Podkakuje, przyskakuje w lewo, w prawo — wierzga ułożoną nóżką po śliskim, kolorowym błotku. Na bokach paletki leżą grzesznie kupki i kłębki farb: białej, żółtej, czerwonej, brązowej, szarej, ultramaryny i oranżu.

Pędzelek tu liźnie kawałeczki białej kielbaski, tam wskubnie oranżową kuleczkę, tu przydepnie, tam podbierze — ciągle spiesz się. Chwile stanie, poczeka, aż mu kapną krople werniksu — i dalej smakuje, przymilaskuje, przerabia, dotrąwia — jak łowca znakomity potraw.

Potem blegnie pędzelek, przetrząśnie pilśniowy protokół i tam dalej podkakuje, ale już na płaszczyźnie pionowej. Znowu tam obtańcowuje swój pośpieszny taniec.

Pędzelek ma bardzo mało czasu, spiesz się, przewraca z pośpiechem; nie może dogonić Piley, która ma ucieka — nie może dogonić drzew, które odbiegają w dal.

Pędzelek nie może nadążyć, znowu wskakuje na paletę, drobi w szalonym tańcu; z palety skok na korony drzew — drzewa uciekają — pędzelek jak może tak zbiera do kupy rozlatane liście.

A tu już trzeba spieszyć do wody, bo za daleko odpląsnęła, nie mówiąc o łań przy drodze, która jeszcze się nie ująłła i coś za długo marudzi.

I pędzelek tu na odmianę musi poganiać kłębki, trawki i zarosła, aby nadążyć za rzeką i drzewami.

Jak na jeden maty pędzelek — dalszy — za dużo roboty, toteż spiesz się jak sto diabłów — i na małej paletce tańczą już pędzle dawa. Coraz szybciej obrotasem przyskakuje na wyszlizganym błotku.

Do kompanii przyląca się pędzelek trzeci, czwarty, piąty, dziesiąty, dwudziesty — i całą szereg ułożonych ludków tańcuje zwarowaną polkę, rozdzielając doszczętnie resztę kolorowych kłębask na kolorową papkę. — Papkę miosą na Pile, zostawiają na drzewach, na drodze i na niebie.

I znowu zeskakują z obrazu, siekają pałeczką tlejącym deszczem, rozdeptują kolorową kałużę, nurczą w niej ułożone

pijaczki, blegną znowu obtańcać je o niebo, o obłoki, o pnie drzew; — wracają z powrotem na paletkę — tu! — przyskakuje w prawo, w lewo, wprost, na ukos, tu i tam, w te i we wte, aż farba uszedzie pryska. Rytm 20 pędzeli robi się coraz szybszy, coraz bardziej gęsty i ruch, robi się tak niestępanny, że w końcu nie wiesz, czy obraz maluje paletka, czy paleta hula po ścianach, czy ściany maczają się w farbach, czy farba fruwa w powietrzu.

Przeleciał oczy. — Nie!

— To jeden pędzelek podskakuje naślad i obtańcowuje widok nad Piley.

I ciągle mu się śpieszy, śpieszy, śpieszy.

Czy nadąży?

Niepozorny pędzelek jest sprytny: zagania widok do swojej zagrody, jak dobry owczarek stado rozprzeczonych baranów.

I oto uciekające drzewa stają, staje uciekająca Pileta, kłyszcząc się trawą zamierającą drogą zastępną w bezruchu. Pędzelek kończy swój taniec i odchodzi skromnie na bok — do stołeczka z terpentyną.

Chwila przerywy, oddech — i trzeci zaczyna fajlować drogą powoli uderować, drzewa szumić, a Pileta płynąć powoli w dal — wszystko tak jak chce pan Konstanty.

Pan Konstanty bardzo lubi rozmawiać przy swej pracy, tak jakby chciał zagadnąć podskakujący pędzelek i odwrócić uwagę od jego roboty. Lubi opowiadać o szare-

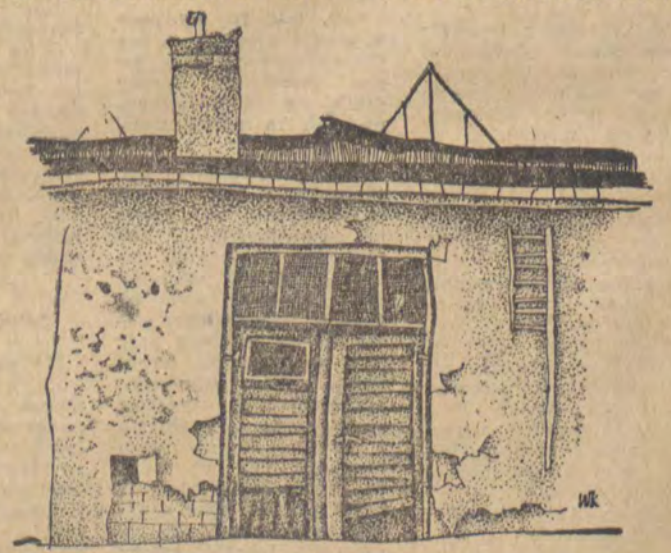
kich srebrzystościach pejzażu Corota, o martwych naturach Chardina, o urzekającej kolorystyce Bonarda, o precyzyjnej formie Vermeera, o szkicach Rembrandta, czy o piórkowych rysunkach Michała Anioła, które chwytają za gardło i o wszystkich tych cudownych wydarzeniach zwanych WIELKA SZTUKA.

Albo o ludziach Renesansu szczególnie lubi dużo rozprawać. Albo wodzi się za bity za współczesnością, w której

jak wiadomo, więcej jest nieporozumień, ponurego wydziwniania i wrzaskliwej tandety niż dobrej roboty.

Panu Konstantemu, tak jak jego pędzeliom ciągle się śpieszy i zdarza się często, że 2-3 albo i 4 myśli naraz chce wypowiedzieć. — Wiele dobra trzeba natężyć uwagę, aby się potapać i przyjąć odpowiednie słowo do odpowiedniej myśli.

Szalenie lubi dzielić się ze słuchaczem swoimi myślami, nie



Przejazd 6 — Wejście do pracowni p. Konstantego.

Z wybuchem I wojny światowej odżyły w pewnych kręgach społeczeństwa polskiego nadzieje na pozyskanie Francji dla sprawy polskiej. Ich wyrazem było utworzenie w 1915 r. we Francji kilku organizacji, których celem było skłonienie Rosji, przez zorganizowanie nacisku ze strony Francji i innych aliantów, do realizacji zapowiedzi, zawartych w sierpniowym manifestie W. Ks. Mikołaja Mikołajewicza z 1914 r. Wyrazem tych nadziei było także utworzenie polskiego oddziału wojskowego, złożonego z ochotników, który jako tzw. Legion Bajiński walczył w Szampanii w 1914 i 1915 r.

W pierwszym etapie wojny nie mogło być oczywiście mowy o jakiegokolwiek działaniu Francji na rzecz niepodległej i niezawisłej Polski. Rosja carska była zbyt wartościowym sojusznikiem, aby go można było stracić, czy nawet drażnić. Stanowisko zachodnich państw koalicyjnych wobec kwestii polskiej było funkcją ich stosunku do Rosji. Zasadniczy zwrot w położeniu sprawy polskiej na Zachodzie, we Francji, przyniosło zwycięstwo rewolucji lutowej w 1917 r. Uznanie prawa Polski do niepodległości przez Piotrogrodzka Rade Robotniczą 28. III. 1917 r. a następnie Rząd Tymczasowy, umożliwiło rządowi francuskiemu wyjście naprzeciw staraniom patriotycznie nastawionych kół Polaków. Dnia 4. VI. 1917 r. prezydent Francji, R. Poincaré wydał dekret powołujący do życia autonomiczną armię polską na ziemi francuskiej. W trzy miesiące później rząd francuski pierwszy raz uznał powstanie w Szwajcarii Komitetu Narodowego Polski za jedynego przedstawiciela państwa polskiego. Po Rewolucji Październikowej, kiedy Francja miała rozważane ręce wobec Rosji, armia polska podporządkowana została Komitetowi Narodowemu Polskiemu i uznana za armię sprzymierzoną, współwalczącą pod dowództwem polskim. Armia ta — tzw. oddział hallerczyków — wróciła do Polski na wiosnę 1919 r. w sile 67.308 szabel i bagnatów.

Świadomość wartości Polski jako sojusznika po klęsce Niemiec i ugruntowanie się władzy radzieckiej w Rosji wyznaczyły politykę Francji w stosunku do odrodzonego państwa polskiego. Rząd francuski z zadowoleniem przyjął kompromis między J. Piłsudskim a KNP. Udzielił niepodległemu państwu pomocy przy organizowaniu siły zbrojnej. Na podstawie umowy z kwietnia 1919 r. do Warszawy przybyła Francuska Misja Wojskowa na czele z gen. Pawłem Prosperem Henrymsem, licząca około 1,5 tysiąca oficerów i specjalistów. Wśród nich znajdował się młody kapitan Charles de Gaulle.

Powszechnie wiadomo, że to właśnie delegacja francuska starała się poprzez zadania strony polskiej na Konferencji Wersalskiej, chcieć jak najbardziej osłabić Niemcy w obawie przed możliwością rewanżu.

Polityka Francji w tym okresie była nie tylko antyniemiecka, ale i antyradziecka. Francja była jednym z państw zwolenników utworzenia

z tzw. kordonu sanitarnego wokół Rosji radzieckiej, mającego na celu zahamowanie możliwości rozszerzania się komunizmu w Europie. Tym też tłumaczy się pomoc rządu francuskiego dla Polski w 1920 r., w sprawie ciele i kadry, kiedy ruszyła kontrofensywa radziecka na Warszawę. Ta współpraca stała się punktem wyjścia dla pertraktacji między oburządami w celu zawarcia przymierza politycznego, uzupełnionego konwencją wojskową. W 1921 r. Piłsudski wraz ze swoim ministrem wojny, gen. Sosnkowskim, oraz ministrem spraw zagranicznych, ks. E. Sapieha, udał się do Francji. Wynikiem wizyty było zawarcie umowy z dnia 19. II. 1921 r. o umowa, podpisana przez Arystyda Brianda i ks. Eustachego Sapieha, ustanawiała sojusz polityczny. Obydwaj rządy zobowiązały się: 1° porozumiewać się w celu uzgodnienia swych wysiłków pokojowych we wszystkich sprawach polityki zagranicznej, 2° poro-

pierwsze lata niepodległości Polska była sprzymierzeńcem tak zależnym, że zasługiwała na miano klienta. Zależność polityczna Polski ułatwiała kapitałowi penetrację rynku wschodniego sojusznika i to bez większych skrupułów. W języku francuskich sfer kapitalistycznych nazywało się to pomocą „gospodarce narodowej nowej Polski w przystosowaniu się do wytworzonych warunków i do jej rozwoju”. Sprawa Żyrardowa, elektrowni warszawskiej, „Skarbofermu”, nafty galicyjskiej itp. wykazały, że kapitał francuski odgrywał w Polsce rolę szczególnie wyjątkową.

Do 1924 r. nie było ze strony polskiej żadnych oporów do jeszcze większego zbliżenia z Francją. Dopiero zmiany w sytuacji międzynarodowej w latach 1924—1925 odbiły się ujemnie na stosunkach polsko-francuskich. W momencie, kiedy we Francji uznano punkt widzenia A. Brianda, że jedynie możliwa do przyjęcia, realistyczna i skuteczna jest polityka porozumienia z Niemcami, w polskich kołach politycznych zarysowała się świadomość, że

polsko-francuskiego zmalała. Zresztą strona francuska starała się kilkakrotnie w sposób formalny osłabić swoje zobowiązania w stosunku do Polski w miarę, jak na Quai d'Orsay coraz śmielej torował sobie drogę kierunku zbliżenia z Niemcami. Nowsze badania historyczne podważają lansowaną dotąd tezę jakoby przewrót majowy z 1926 r. zapoczątkował zwrot do orientacji profrancuskiej do proangielskiej. Marszałek Piłsudski zbyt cenił wartość sojuszu z Francją na wypadek wojny z Niemcami. Prawda jest jednak, że zastrzył się krytycyzm rządów pomajowych wobec polityki francuskiej oraz tendencja do zmniejszenia zależności od Paryża, co w latach trzydziestych przerodziło się w chorobliwą manię mocarstwowości.

Aż do 1932 r. stosunki między Warszawą a Paryżem układały się dość poprawnie. Później zaczęły ulegać stopniowemu pogorszeniu, by w latach 1934—1935 wejść w stadium tak ostrego kryzysu, że powszechnie uitożsamiano go w Europie z zerwaniem sojuszu. Francie coraz częściej zaczęły drażnić samodzielne poczynania polskiej dyplomacji. I tak np. Quai d'Orsay patrzyło bardzo niechętnie na zawarcie polsko-radzieckiego paktu o nieagresji z 1932 r. Nawet nie ze względów zasadniczych. Niechęć wynikała stąd, że to Francja chciała patrolować zbliżenie polsko-radzieckie. W momencie, kiedy nad Sekwaną przestano traktować ZSRR jako wroga, zaczęto zwalczać polskie koncepcje jednolitego frontu od Bałtyku do Morza Czarnego, gdyż wzmacniałby on międzynarodową pozycję Rzeczypospolitej i ułatwiałby emancypowanie się spod protektoratu francuskiego. Francja „rewanżowała się” Polsce zgodą na deklarację 5. marca 1932 r. w sprawie równouprawnienia Niemiec (bez uprzedniego uzgodnienia z Polską), stanowiącą daleko idącą koncesję francuska na rzecz dobrużenia Rzeszy. Deklaracja niemiecka wywarła fatalne wrażenie w Warszawie i była interpretowana jako przeświadczenie Francji do obozu rewizjonistycznego.

W 1933 r. wraz z dojściem do władzy Hitlera niebezpieczeństwo niemieckie stało się oczywiste. W tym czasie Polska i Francja, dwa państwa związane formalnie sojuszem, obydwa zagrożone, zamiast działać solidarnie, szukały rozwiązania każde oddzielnie, bez porozumiewania się ze sobą. Tak więc Francja w pierwszej połowie 1933 r. próbowała znaleźć zabezpieczenie przeciw III Rzeszy w ramach tzw. paktu czterech mocarstw (Włochy, Niemcy, Wielka Brytania, Francja), co napotkało zdecydowany opór strony polskiej, gdyż u podstaw paktu leżały włosko-niemieckie hasła rewizji tych traktatów, które m. in. wytyczały zachodnie granice Polski.

Z kolei rząd polski w poszukiwaniu niezależnego od Francji uregulowania bezpieczeństwa od strony Niemiec doprowadził do podpisania 26. I. 1934 r. fatalnej w skutkach polsko-niemieckiej deklaracji o nie stosowaniu przemocy, o czym rząd francuski dowiedział się dopiero z komunikatów prasowych.

Oba posunięcia, w szczególności zbliżenie Polski do hitlerowskich Niemiec, określone czasem eufemistycznie jako flirt polsko-niemiecki, zapoczątkowały narastający kryzys w stosunkach polsko-francuskich. Ujawnił się on silnie w trakcie zabiegów francusko-radzieckich o zmóntowanie tzw. paktu wschodniego, kiedy to dyplomacja polska poddała się w tej sprawie niemieckim suflerom. Polski minister spraw zagranicznych, J. Beck ostro sprzeciwił się planom swego francuskiego kolegi, L. Barthou zawarcia układu, który ewentualnemu agresorowi

przeciwwstawiliby poważne ugrupowanie państw broniących status quo w Europie. Czynniki pod pretekstem, że system dwustronnych paktów skutecznie broni interesów Polski. Atmosferę wzajemnych oskarżeń i podejrzeń między Francją a Polską pogłębiła akcja rządu polskiego, podjęta przeciwko rabunkowym metodom postępowania ze strony niektórych grup kapitału francuskiego w Polsce (M. Boussaca w Zakładach Żyrardowskich). Paryż potraktował ten atak jako nieprzejawny manewr polityczny — jeden z przejawów polskiej kontrofensywy przeciwko francuskiemu planom paktu wschodniego. Solidarne prowadzenie akcji przeciw paktowi przez rząd polski i rząd niemiecki, co dało w wyniku stordowanie paktu, przyczyniło się do dalszego rozcięcia się polityki Francji i Polski.

P. Laval nie kontynuował polityki Barthou, tworzenia systemu bezpieczeństwa zbiorowego w Europie. Wprost przeciwnie. Dał się do porozumienia i współpracy z hitlerowskimi Niemcami. Dostarczało to Beckowi argumentów do uzasadnienia słuszności jego dotychczasowej polityki. Zwalczał więc ideę paktu wschodniego w imię rzekomo utrzymania zabezpieczenia uzyskanego przez pakt nieagresji z Niemcami. Rząd polski snował, że Polska znalazła się w wyjątkowej i całkowitej zależności od polityki niemieckiej. W orbie wpływów politycznych III Rzeszy pozostawała Polska aż do wiosny 1939 r. Tylko formalnie związana była dożywotniacym sojuszem z Francją. Do pewnego ożywienia polsko-francuskiej współpracy doszło po zajęciu przez Niemcy Nadrenii (7. III. 1936). Wówczas wizyta Rydza-Smigłego we Francji powołano się nawet na układ z 1921 r. przy podpisaniu 6. IX. 1936 r. w Rambouillet protokołu z różnic w sprawie współdziałania wojskowego na wypadek konfliktu. Nie miało to jednak większego znaczenia, skoro wkrótce we Francji ster polityki zagranicznej przeszedł w ręce G. Bonnetta, który był jednym z twórców polityki „ułagodzenia” (appeasement) hitlerowskich Niemiec. Kiedy po Anschlussie Austrii, zajęciu Sudetów a potem Czech i Moraw Hitler odstąpił kartę, żądając Gdańska i Pomorza, było już za późno, by przygotować skuteczną obronę przed planowaną agresją, w ramach formalnie wciąż obowiązującego sojuszu polsko-francuskiego. Po uzyskaniu przez Polskę 31. III. 1939 r. gwarancji angielskiej i kwietniowej zapowiedzi układu o pomocy wzajemnej premier francuski Daladier ogłosił, że Francja i Polska gwarantują sobie pomoc natychmiastową i bezpośrednią „przeciwko każdemu bezpośredniemu lub pośredniemu zagrożeniu ich żywotnych interesów”. Przystąpiono nawet do rozmów w sprawie dostosowania sojuszników stosunków polsko-francuskich do ściślejszych sprzymierzonych i dalej idących zobowiązań angielsko-polskich. W maju gen. Gamelin i gen. Kasprzycki podpisali protokół wojskowy, przewidujący wspólne działania w przypadku agresji niemieckiej. Nie udało się jednak doprowadzić do podpisania bardziej wszechstronnego porozumienia politycznego.

Na niemieckie ataki na Polskę w dniu 1. września 1939 r. Francja odpowiedziała dwa dni później wypowiedzeniem wojny hitlerowskiej Rzeszy a następnie działaniem patroli swych wojsk między liniami Maginota i Zygfrida. I trzeba było do piero wspólnej ofiary krwi w kampanii 1940 r. w Ruchu Oporu i ope racjach 1944 r., by naprawić błędy „monachijczyków” oraz niefortunną zwłokliwość polityki mocarstwowej, i przywrócić wiarę w sojusz francusko-polski.

Francja — Polska 1914—1939

Sojusz niepełnionych nadziei

zumiwać się wspólnie w sprawach odrodzenia gospodarczego, rozwijać wzajemne stosunki ekonomiczne przez zawarcie umów specjalnych i konwencji handlowych. Najważniejszy punkt trzeciej stanowił, że: „gdyby jednak, wbrew przewidywaniom i szczerym zamiarom pokojowym obu układających się państw, oba one lub jedno z nich zostało zaatakowane bez wyzwania ze swej strony, oba rządy porozumieją się celem obrony swych terytoriów i ochrony swych uprawnionych interesów, w ramach zakreszonych na wstępie”. Tajna konwencja wojskowa wyznała, że chodzi przede wszystkim o obronę przed agresją niemiecką.

Oba dokumenty dawały podstawę do ułożenia jak najściślejszych, sojusznich stosunków między Polską i Francją. W zasadzie też zachowywały swą moc przez cały okres dwudziestolecia międzywojennego, chociaż od początku istniały różnice co do ich interpretacji. Sojusz z 1921 r. nie był sojuszem dwóch równoprawnych stron. Przez

polityka Francji nie liczy się z interesami swego polskiego sojusznika. Rozczarowanie do Francji i niezadowolone z jej polityki zwiększyło się po poświęceniu żywotnych interesów polskich w traktatach lokarniejskich z 1925 r. Tzw. pakt reński ustalał gwarancje brytyjskie i włoskie dla zachodnich granic Niemiec, zabezpieczając Francję i Belgię przed odwetem. Brak takich gwarancji dla granic wschodnich kierował odradzając się imperializm niemiecki na Wschód, przeciw Polsce, Czechosłowacji i ZSRR. Podpisany równocześnie traktat gwarancyjny polsko-francuski, będący próbą ratowania twarzy przez Paryż, nie zmniejszał istoty rzeczy. Wzmocniając formalnie związki Francji z Polską, faktycznie dawał podstawy do ich rozluźnienia, ponieważ wypełnienie zobowiązań Francji wobec polskiego sojusznika mogło się spotkać ze sprzeciwem svenratlarszy paktu reńskiego i uzależnione zostało od decyzji Rady Ligi Narodów.

Powszechnie panowało przekonanie, że po Locarno wartość sojuszu

przerzucającą się na chwilę pracy.

Jestem przekonany, że gdy nie ma nikogo prócz niego w jego komórze, pan Konstanty rozmawia ze swoimi obrazami. Na pewno zadaje im pytania, żąda od nich odpowiedzi, uścisła się na nie, ponieważ też i krytycznie na powiektóre drzewa, które mu się wydają, że to krzaka i nie chce stać jak należy. Na pewno awanturowuje się z obiektem, które jak to niedyscyplinowana mgła — rozlała mu się na boki; i gdzieś pod ścianą albo pod sufitem grupują się w pięć ni w dziesięć.

Na pewno niejedną paskudną słówko dostanie się dróżce, która zamiast w lewo, zaczyna się w prawo — na złość malarzowi.

Tak, taki — kłopotu jest co najmniej i trudno jednemu człowiekowi tak szybko uporać się z tymi przeciwnościami.

Toteż gawor tu panuje nieustannie; jak nie słowo to myśl się przegadują — jak nie myśl, to znowu farby podnoszą bunt — jak nie farby, to paleta zaczyna rozróbic — i wszystko domaga się pierwszeństwa.

Zwyczajnie jak u artysty malarza.

Gdy pan Konstanty zmęczy się malowaniem, myśleniem i gadaniem, wychodzi na ulicę i zanurza się w Piotrkowską. Idzie do Klubu Międzynarodowej Książki i Prasy; kupuje ilustrowane czasopisma i albumy. Wybiera te, w których

jest dużo fotografii, romantycznej lub politycznej architektury, maszyn, samolotów i różnych różności.

Potem te różności nakleja na pilśniówkę, robi montaż, podmalowuje, łączy z partiami malowanymi, tak, że zdumiony wódz dziwi się, jaki ten Konstanty precyzyjny!

Pan Konstanty jest chytry i na początku humoru; już dawno zmierzkał, że to obójne z czego robić kolaż; z zardzewiałych puszek po konserwach, z cynowych tyłek, starych zawieszek, smat czy uszczelkę oklepiennych, zapoczątkowanych rurek — czy z drukarskiej fotografii.

Wybiera więc, to co tańsze i łatwiej dostępne, nie wymagające brudzenia sobie rąk wyciąganiem starych kłopotów ze śmietnika.

A ponieważ jest malarzem, wszystko to podpratawa pedzikiem tak, że nie rozróżnisz tego co namalowane od tego, co sfotografowane; — taki to z niego cygan.

W ten sposób powstają wspomniane cykle: Katedry, Ruiny po wojnie atomowej, Miasta przyszłości, Góry i wąwozy hiszpańskie, ta za jedną katedrą, która postać na konkurs do Monaco otrzymał i nagrodę od samego księcia Rainiera. I widowiec podziwiał fantazję i precyzję wykonania, i płyną na fali zachwytu, a nie jak na innych wystawach, gdzie się trząsają dyskretnie w bok i mówią: „Cholera! Patrz pani! Czyż pan nie zdążył kiedy tyłek tyłek naraz?”

Gdy pan Konstanty kupi już odpowiednią ilość czasopism, wraca powojną Piotrkowską ze

swoim łupem. Po drodze spotyka mnóstwo znajomych: — zna go bowiem cała Łódź. Odpowiada na ukłony znajomych: — „Zdrowie, zdrowie...” — pogratuluje z nim o tym i owoim i tak dochodzi do Klubu Dziennikarskiego.

Wstępuje na górę, zamawia swoją codzienną kawę z ciastkiem, już z daleka kiwa pilnie do znajomego, albo się do niego przysiąda.

— Wyciąga z kieszeni „Kulturę”, „Życie Literackie” albo „Politykę” i od razu z mielską awanturowuje się: „Jak Różewicz może pisać, że poeta umiera! Jak może poeta pisać takie straszne rzeczy! To koniec świata!”

Dla nieustraszonego oka pan Konstanty przedstawia się wtedy jako uścisła tygrys nie pierwszy już młodość i ucałuje nie rokujący nadziei na ustąpienie.

Bo pan Konstanty bardzo lubi ludzi i dlatego nieustannie na nich się uścisła. Do szalu go doprowadza, gdy jak zwykłe nakłona w Związek Piłsny, ków, Ministerstwo Kultury i Sztuki, lub w naszym Wydziale Kultury (tutaj raczej ucałuje nie kłona, bo knocenie wychodzi dopiero z robotą).

Nie może wytrzymać, gdy dzieje się jawną bzdura, kłanie krzywdy lub niesprawiedliwość.

— Gdyby go ktoś bliżej nie znał, uważałby go za osobie nie dość dojrzałego i przewrotnego szatana, kłapiącego roznadą paszczką.

Gdy zaś go opuci, pan

Konstanty opowiada o swoich scenariuszach, w których polno jest uścisłych uczuć, przepięknych kobiet i rycerskich męczyzn. Skrzywdzone dzieci odnajdują swoich rodziców, stary i matrony cieszą się zastulonym szacunkiem, niewierni kochankowie wracają do zapłakanych ze szczęścia kochanek, krzywdy zostają naprawione z nadwyrężką, złoczyńcy odpowiednio ukarani.

Nawet cyniczne szwarccharaktery są uścisłe i uczuciowe — najbardziej zaś urodne bandziory płaczą ze skruchy i wzruszenia na końcu filmu.

— Scenariusze pełne są uścisły w dobro ludzki; — pełne swobodnego oddechu i zaufania w intencje ludzkie.

„Żeby nie obrazić, to by był filmowcem” — stwierdza zwyczajnie pan Konstanty.

Pan Konstanty mówi także: „malarz musi być dobrym człowiekiem, inaczej nie będzie dobrym twórcą, co uarte malarstwo złego, nieludziekiego człowieka?”

Gdy kto jest niedobry, zaraz to wychodzi z jego roboty, dlatego mamu teraz tak dużo ziego malarstwa!

I tak jest sobaka zaszyta”.

Potem idzie do „Egzotycznej”, bo tam przeważnie schodzą się ludzie władający pedzłem. Mimo, że nie najlepiej

z dzisiejszym malarstwem, a można nawet powiedzieć, że zupełnie do chrzanu z malarstwem, jednak pogadanie należy.

— Ale i tam pan Konstanty kłóci się jak na prawdziwego artystę przystało. Gdy malarze mówią „czarne”, on wrzeszczy „białe”; Gdy malarze „białe”, on „czarne”. Jest zawsze przeciwny wszystkim. W ciałej wojnie ze wszystkimi. Nawet z Panem Ministrem od Kultury i Sztuki.

Gdy czasem jedzie na WAZNE ZEBRANIA, zdarza mu się przypaść Panu Ministrowi tak szkaradnie, że ten nie mogąc znaleźć odpowiedzi pokręca nie niedobry uśmiechem, który jak wiadomo jest kwiatem uczuć.

I oficjalna krytyka udaje, że go nie ma, a na artystycznej polskiej gieździe wcale nie jest brany w rachubę — tylko „nieścisłe głuche krąży między ludem”.

— Ale nieoficjalnie często niektórzy malarze zaglądają do jego komórek; — oficjalnie zaś mówią, że bardzo okropnie maluje — gorzej jenieli pod zachód słońca na złotym tle — kompletne, ale to kompletne dno!

Bardzo to uścisłko denerwuje pana Konstantego, ale swoje robi nadal i ani myśli ustąpić, bo zna malarzy i swoich robotę.

Gdy już odsiedzi swoje w „Egzotycznej” patrzy na zegarek i stwierdza w popłochu:

„Jak ten czas leci!” — i potem wyrzucił sumienia i szybko wraca do swojej komórki, gdzie czeka na niego niezawodny pedzleć.

— Nieraz mówiono panu Konstantemu „dlaczego pan nie stara się o przywołanie pracowni — przeciw łódzkiej Wydział Kultury powołaniem panu pomóc; — to skądś przecież, aby pan siedział w takiej klatce”.

— Ale pana Konstantego od razu trafia szlag! „Daj mi pan spokój! Bo to już raz tam chodzę! Mówię, że nałuj — że mogą mi coś dać na Bałutach, Zubardzu, Dąbrowie — czy na innej cholerze — i to nie tak przedko. Pewnie na czwartym albo na piątym piętrze i musiałbym wtedy siedzieć odcity od świata przez cały dzień, sam z dala od ludzi i kawiarów.”

Wolę już tę zagraconą komórkę — przynajmniej, kiedy chce wykończyć i zraz pełno ludzi dookoła, i mnóstwo znajomych na ulicy.

— Nie potrafię być bez Piotrkowskiej, — i pan Konstanty puszcza w ruch swój pedzleć.

Nie na długo tym razem, bo już zmierzcha i świetlik tli ledwo, ledwo.

— Wyskakuje więc znowu na Piotrkowską, bo jak mówi „tyć bez ludzi nie może” i musi popatrzeć czy coś się w tym czasie nie zmieniło gdy malował.

Bo pan Konstanty to artysta malarz bardzo predki.

Łącząc wyrazy szacunku

WACŁAW KONDEK

ROZMOWA Z PISARZEM

ODGŁOSY: Czy może nam Pan powiedzieć kilka słów na temat powieści, której fragment publikujemy?

R. ŁOBODA: Z przyjemnością. A więc jest to powieść współczesna, której akcja dzieje się w Polsce, w części na Wybrzeżu.

ODGŁOSY: Kto jest bohaterem Pańskiej powieści?

R. ŁOBODA: Bohaterem jest pewien doktor filozofii, który nie może znaleźć tezy filozoficznej dla swojego życia. Wiek bohatera: po czterdziestce.

ODGŁOSY: To jest teza generalna. Ale jakie sprawy i problemy porusza Pan w tym nowym utworze?

R. ŁOBODA: Ponieważ bohater wpłatał się w nieudaną miłość, sprawy psychologii miłości zajmują w powieści sporo miejsca.

ODGŁOSY: W jakim stadium warsztatowym znajduje się Pańska książka?

R. ŁOBODA: Jest na ukończeniu. Mam nadzieję, że uda mi się ukończyć ją do grudnia b. roku.

ODGŁOSY: A kto i kiedy ją wyda?

R. ŁOBODA: Jeszcze nie wiem.

Rozmawiał JK.

ROMAN ŁOBODA

Bylin nie może zasnąć

Bylin nie może usnąć, chociaż po różowej plamie na suficie nie ma już śladu. Ale monotony szum deszczu po pewnym czasie może wydawać się ciszą. Bylin wsłuchuje się w deszcz; coraz cichszy, dalszy, monotonniejszy stukot.

Zdawało się, że ulewa nigdy się nie skończy. Padało równo, mocno, bez przerwy, przez całą noc. Bylina budzi pukanie.

— Długo pan spał — mówi córka gospodarza.

Pokój zalany słońcem. Bylin sięga po zegarek. — Dziesiąta — mówi głośno, ale jeszcze niezupełnie zdaje sobie sprawę z obecności dziewczyny. Bylin jest wypełniony czystym i lekkim powietrzem. Mógłby ulecieć przez uchylone okno gdyby zrobił najmniejszy ruch. Ale jest nagi i musi zacząć od dziewczyny. Widać ją. Córka gospodarza stawia na krześle, obok łóżka, gorące mleko. Bylin myśli o tym jak będzie leciał. Byle tylko starczyło tego powietrza. Ona pachnie rybami. Pracuje w sklepie rybnym. Żeby tylko jak najrychlej wyszła. Domieszka zapachu rybnego mogłaby skrócić lub nawet uniemożliwić lot. Ona jeszcze czymś takim nie pachnie i siada. Zakłada ręce na brzuchu. Paznokcie ma długie i czarne. Bylin coraz bardziej się niecierpliwi. Dziewczyna patrzy na niego uprzejmie. Ma nie więcej niż siedemnaście lat. Jest ładna tymi latami, że nawet zapach i paznokcie mogłyby ująć uwagę kogoś, kto nie ma zaraz odlecieć. Bylin się niecierpliwi, dziewczyna nad czymś myśli. Wreszcie mówi: — Długo pan dzisiaj spał. — Bylin podnosi się gwałtownie, siedzi oszolomiony. — Nic z tego — myśli — nie uleciał. Wszystko przez nią! — Rozgląda się z rezygnacją po pokoju. Na świeżo bielonym suficie nie ma śladu nocnych obrazów.

— Mleko panu ostygnie — mówi dziewczyna. Bylin chwytając garnuszek za ucho, pije, i parzy sobie usta. — Do diabła! — Dziewczyna parska śmiechem. Bylin hamuje gniew. — Pani nie poszła do pracy — pyta.

— Dzisiaj nie. Święto — odpowiada córka gospodarza.

— Święto?! — Dziwi się Bylin.

— Zwolniłam się na dzisiaj.

— Aha! — Mówi Bylin, czując się wystarczająco poinformowany.

— Ja tak tylko tymczasem... — Dziewczyna gniecie palcami sukienkę na udzie.

— Co tymczasem? — Bylin wie, że to łatanie było złudzeniem, że właściwie nikt mu niczego nie popsuł. Takie przywidzenie. Nikt nigdy przecież nie latał, chyba we śnie. We śnie. Bylin często lata we śnie. Kiedyś, w gronie przyjaciół siedzieli z Wandą i pili kawę. Wanda jak zwykle nie miała twarzy. To dziwne, że nigdy w jego śnach nie miała twarzy. Wszyscy mężczyźni mówili niby coś ogólnego, ale wynikało z ich słów, że to właśnie oni, każdy z nich po kolei jest nadzwyczajny. A Wanda jakby do każdego mówiącego po kolei należała, a jeżeli Bylinowi tylko tak się zdawało to na pewno nie mogło mu się zdawać, że jej twarz, której on nie zdołał nigdy dojrzeć, obiecuje im wszystko. Denerwował się, ręce mu drżały i kawa oblewał sobie spodnie. Pojmował, że musi zrobić coś, czym tamtych zdystansuje, zmiażdży, chociaż nie bardzo wierzył, że Wanda to zauważy. Denerwował się i wy-

lewał kawę na spódnie. Wanda wyjęła chusteczkę. Bylin wiedział, że stać ją na to, by zwrócić uwagę wszystkich na jego plamy na spodniach i w ogóle wszystkie jego plamy.

Ona musiała to zrobić, żeby być w porządku. Może to nawet miała być zemsta na Bylinie. On czekał na to i bał się ruszyć, żeby znów nie rozlać kawy, ale rozlał. I wtedy właśnie uwolniony od ciężaru kawy i strachu rozlania stał się swobodny, lekki, zaczął unosić się, wzbijać w górę, płynął nad stołem nieznacznie poruszając ramionami. Wszyscy zamilkli. Wyraz zadufania zniknął z twarzy mężczyzny, zapanował ogólny podziw i zdawało się, że nikt już nie wątpi w druzgocą nadzwyczajność, ba, w nadprzyrodzoną Bylina, który bez jednego słowa, bez jednej przechwałki wznosił się ponad wszelkie wyobrażenia. Nie ulegało wątpliwości, gdy tak krążył wysoko w sposób ptasi, a zarazem głęboko ludzki poruszając kończynami, nie ulegało najmniejszej wątpliwości, gdy to zniżał się, to unosił według swej woli, że nikt w żaden ludzki sposób nie może się z nim, Bylinem, mierzyć.

I wówczas Wanda! To wprost nie mieści się w głowie! Wówczas ona, mimo że Bylin zachował w swych ewolucjach godny umiar i rozsądną powagę, a nieliczne i celnie odmierzone żarty — zapewne można je tak nazwać — napowietrzne były w najlepszym smaku, wówczas Wanda... To wprost nie mieści się w głowie, że właśnie najbliższy człowiek, najbliższa kobieta, z którą dzielił się wszystko, to najtajniejsze i to najbardziej własne, ofiarowane bez zastrzeżeń i bez reszty, że właśnie taka kobieta może ugodzić, z nienacką, w najdonioślejszej chwili może odciąć się od tego wszystkiego i jak ostatni wróg razić w odsłonięte miejsce mężczyzny.

Gdy więc Bylin szybował dostojnie, bezapelacyjnie wznosząc się ponad płaskie chwały tamtych, gdy ich w proch ścierał wówczas Wanda... nic gorszego nie mogło się zdarzyć mężczyźnie, który się wznosił... Ona roześmiała się ironicznie i krzyknęła: — Nje wyglupiaj się idioto!

Zdarzenie nienowoczesne, można powiedzieć, że nawet dość częste, ale zawsze uderza jak grom, jak pierwszy grom w człowieka i wtedy człowiek niby ptak, któremu przetrącono skrzydła, pada. Bylinowi zwieszonemu bezwładnie przez poręcz krzesła Wanda osuszała spódnie jedwabną chusteczką. Bylin czesto lata we śnie, ale wspomnienie sennie tamtej sennie kleski odbiera mu pełną rozkosz wolnego obcowania z przestrzenią. Zawsze nim oderwie się od ziemi pilnie baczny nie ma Wandy w pobliżu. Można by to nazwać obsesją, obsesją. Możliwość uleczenia jest tylko jedna: trafić na taki czas, taki dzień, chwilę, na taką jasność, lekkość, pragnienie sprężone w sobie i naprawdę ulecieć — rzeczywiście. Już nieraz próbował. Koncentrował się, zwierzał i zamiast lekkości wstępowały w niego myśli; jak kwoki wypuszczały obrazy w przestrzeń wokół obolałej bylinowskiej głowy. Karuzela obrazów nabierała pędu i autonomiczności, bowiem myśli jedna po drugiej usychały, wiodły i ginęły w zapomnieniu. Wszystkie obrazy, mimo swego ruchu i wewnętrznej zmienności, komponują się wokół różowej plamy i dążą do pointy, którą Bylin nosi w podświadomości i nie umie jej wyrazić.

— Tymczasem — mówi córka gospodarza — pracuję w sklepie.

Bylin czuje powracające zmęczenie, ale pyta: dlaczego tymczasem?

— Później pójdę do szkoły.

— Do szkoły — mówi Bylin — do jakiej szkoły?

— Do szkoły pielęgniarstwa.

— Pielęgniarstwa — Bylin marszczy czoło

— kogo pani chce pielęgnować?

— Ludzi, ale najlepiej dzieci.

— Czemu najlepiej?

— Nie wiem — mówi dziewczyna.

Bylin też wolałby być lekarzem. Nie dlatego, żeby móc leczyć sąsiadkę lub podobne jej wywczasowiczki. Nie po to, by leczyć dzieci, chociaż wie, że to jest piękne. Wyobraża sobie: — panie doktorze!

— Słucham panią?

— Proszę zaraz przyjechać

— Co się stało?

— Mój mąż umarł!

— Żartuje pani!

— Nie podobnego!

— Słusznie. Jestem przekonany, że brak porównania uwiódł panią. Proszę być dobrej myśli, podtrzymywać ją dopóki się nie zjawie.

— Czy mam coś robić?

— Podtrzymywać.

— Co?

— Myśl.

Bylin zna ciało ludzkie. Nic się nie wymknie jego obserwacji. Procesy biologiczne są sprawdzalne, to nie filozofia, do której odniesienia rozproszone na kartach zakurzonych tomów, a karty te spisywali ludzie, których prochy rozwiały wieki. Bylin zna żywe ciało i nic go nie zwiedzi, nawet mąż pani F. System filozoficzny, nad którym pracował dziesięć lat, nie sprawdził się jeszcze. Należałoby trochę poczekać. Kilkaset lat; nie jest to wiele, jeżeli chodzi o rzeczy ważne, niemniej jednak trzeba coś przez ten czas robić. Bylin zdaje sobie z tego sprawę i wie, że Wanda też to rozumiała. Bylin wyobraża sobie:

— Śmierć kliniczna proszę pani.

— O Boże!

— Nic się nie zmieniło od czasu, gdy pani telefonowała?

— Nic, panie doktorze.

Bylin wyjmując z nesesera małą oszkloną skrzynkę i drugą metalową w kształcie jąja.

— Woda w łazience panie doktorze. Bylin patrzy krytycznie na męża pani F.

— Proszę obnażyć lewe ramię chorego — mówi spokojnie. Przemycia ręce płynem z butelki a następnie wkłada dłoń do otworu w metalowym jąjku, z którego, po przekroczeniu gałki, wydobywa się cichy szum. Wyciąga dłoń; mają złotawe zabarwienie.



— Co pan robi, panie doktorze — pyta zaciekawiona pani F.

Bylin uśmiecha się pobłaźliwie. — Uproszczony i niezawodny sposób wyjaławiania rak. Naciśka guzik szklanego pudełka. W środku lśni aparat podobny do radiodiodowej lampy z zegarem o kilku różnokolorowych wskazówkach. Zakłada słuchawkę podłączone do aparatu. Pociąga mały cylinder, zakończony ostrzem. Przezroczysty przewód wysuwa się z aparatu. Dotyka ostrzem przedramienia chorego. Jedna ze wskazówek zaczyna drgać i przesuwa się po liczbach na zegarze. Staje. Bylin marszczy czoło.

— Panie doktorze! — Niepokoi się pani F.

— Poziom graniczy — mówi Bylin tonem uspokajającym.

— Co to znaczy?

— Mała zwłoka a siła emisyjna aparatu mogła okazać się niewystarczająca.

Pani F. oddycha z ulgą. Bylin pociąga za długi walec oznaczony tą samą liczbą co pierwszy. — Trafiłem za pierwszym razem — mówi prawie wesoło.

— Pan jest nadzwyczajny.

— Nie. Leczyłem pani męża sposobem tradycyjnym parę lat temu, jeszcze nim opracowałem własną metodę. — Wodzi ostrzem cylindra po klatce piersiowej chorego w okolicy serca. W pewnym momencie wskazówka zaczyna się poruszać po tarczy. Bylin zatrzymuje ruch ręki, odciąga wskazującym palcem dźwignienkę na cylindrze i delikatnie naciśka ostrzem miejsce na piersi chorego. Pani F. słyszy coś zbliżonego do świstu, coś jakby pianissimo skrzypiec na najwyższych tonach. Po dłuższej chwili do uszu Bylina dociera przez słuchawkę szelest budzącej się krwi męża

pani F. Twarz chorego nabiera kolorów życia, usta rozchylają się i teraz już nawet pani F. widzi ruchy kłatkę piersiową swego męża.

— Żyje!

— To było do przewidzenia — mówi obojętnie Bylin, lecz nie jest mu obojętna radość pani F. i wyraz nieopisanego zachwytu na jej twarzy. — Jestem lekarzem — myśli — wskrzeszam umarłych — i chce mu się śmiać, tak pełną piersią, zdrowo, pierwotnie, bo czymże jest ten drobny zabieg domowy wobec metody, która właśnie opracowuje. — Tyle lat zmarnowanych — myśli — na filozoficznych spekulacjach, których słuszność sprawdzana zbyt długim czasem najczęściej staje się nieprzydatna dla autora, bowiem już dawno nie żyje. Manakament, którego biologiczny bezsens pierwsza odkryła Wanda. Twarz Bylina powleka się smutkiem.

— Co się stało?! Coś niedobrze?! — Pani F. podbiega zaniepokojona do Bylina.

— Ee... nie, nie... popełniłem błąd.

— To niemożliwe, niemożliwe! Doktorze! — Maż pani F. otwiera oczy. Bylin wsuwa cylinder do uchwytu w aparacie.

— Co tu się dzieje!? — Maż pani F. unosi się i siada na łóżku. Pani F. zawisa na szyi Bylina. — Pan jest prawdziwym cudotwórcą. Wszystko panu ofiaruję, co pan tylko zechce. — Bylin skromnie opuszcza powieki.

— Co tu się dzieje? — woła maż pani F. wielkim głosem.

— Opanuj się — strofuje pani F. męża — pan doktor wskrzesił cię. — Bylin zamyka szklane pudełko.

— To jest prawdziwy cud — z entuzjazmem woła pani F. — jak pan to zrobił?

— Nauka, droga pani, nauka...

— Ale jak pan to zrobił? Przecież on już nie żył!

— Metoda, droga pani...

— Jaka?! — Przerywa ordynarnym tonem maż pani F.

— Mój panie. — Bylin łagodnym ruchem wgnęła zmartwychwstałe ciało mężczyzny na posłanie — zmiana kierunku myślenia w medycynie...

— Bez czarów! Co to za akwarium?!

— Tym właśnie zbombardowałem pańskie nie pracujące już serce.

Oblicze męża pani F. zaszepia się. Później jakby myśli się rozjaśniała, rozjaśniała, rozjaśniała — pan mnie wyleczył? — I dwie czyste izy ukazują się w jego oczach.

— W pewnym sensie, proszę pana, w pewnym sensie... ale dajmy temu pokój. Spełniłem swój lekarski obowiązek i nie więcej.

— No tak, a ja myślałem... dobrodziej! — wybuchła dziewczynna maż pani F. chwytając Bylina rękę i szarpie ją z całej mocy.

— Drobnotka, drobnotka, za dwa, trzy lata, rozumie pan, gdy ukończę swoją pracę — uwalnia wreszcie rękę z uścisku — a pan umrze biologicznie, rozumie pan, tak do końca, to nie omieszkać znów służyć panu swoja skromna pomoc.

Bylin wyobraża sobie:

Oto ukończył swoją pracę na czas, zaś maż pani F. życie, jak się zwykło w takich razach mawiać.

— Panie doktorze!

— Słucham.

— Pan mnie nie słucha. Pan o czymś myśli.

Bylin przestaje sobie wyobrażać. Przed nim siedzi córka gospodarza z wyrazem głębokiej troski w oczach.

— A najlepiej dzieci — mówi.

— Chciałaby pani mieć dzieci?

Dziewczyna wybuchła śmiechem. Śmieje się i zakrywa sobie usta palcami o czarnych paznokciach.

— Czemu się pani śmieje. Czy jest w tym coś komicznego?

— Pan jest doktorem.

— No tak, w pewnym sensie...

— Ci państwo, co panu szukali pokój — przerywa dziewczyna — mówili, że pan jest doktorem. Tatuś nie chciał wypuścić, ale na doktora się zgodził. Powiedział, że dobrze jest mieć doktora w domu. To ja panu mówię, bo pan się na tym zna.

— Na czym się znam? Na dzieciach?

— Pan zna się na dzieciach — zagaduje dziewczyna.

— No oczywiście. Dziecko też człowiek, a mnie interesuje... — Bylin zastanawia się jak powiedzieć dziewczynie, że coś go interesuje. Nie wie co powiedzieć. — Człowiek musi umrzeć — zaczyna sentencjonalnie.

— Nigdy o tym nie myślę.

— Pani o tym nie myśli, ale przyjdzie taki czas, gdy wszystko, co świat będzie miał pani do ofiarowania będzie spóźnione.

— Eee... — śmieje się córka rybaka.

— Wiele z tego, co robi się dla człowieka jest przeciwko człowiekowi.

— Chciałabym pomagać lekarzowi przy dzieciach — mówi dziewczyna.

— To dobrze. Nie potrafimy przywrócić życia najmarniejszemu stworzeniu.

— Na przykład zdechłej rybce.

— Komu?! — Bylin czuje zmęczenie.

— Zdechłej rybce.

— Właśnie — myśli Bylin — po co przywracać życie zdechłej rybce?

Dziś chciałbym zwrócić uwagę czytelników na pisarza, który dopiero obecnie zaczyna być w Polsce znany z przekładów swoich dzieł. Jest nim Romain Gary. Mammy wiele powodów, aby się nim bliżej zainteresować, a jednym z nich są związki tego pisarza z Polską, o których będzie tu mowa. Zaczynijmy od tego, że Gary to pseudonim pisarski, natomiast właściwe jego nazwisko brzmi Kacław. Otóż Romain Kacław, późniejszy pisarz francuski Romain Gary urodził się 8 maja 1914 roku wedle encyklopedii francuskiej — w Moskwie, wedle encyklopedii niemieckiej — w Wilnie. W tym wypadku należy raczej zawrzeć źródłom francuskim, zresztą sam pisarz w swej autobiografii „Obietnica poranka” (pięćny przed na polski Jerzego Pańego) również fakt ten potwierdza. „Obietnica poranka” jest długim, spłaconym przez pisarza, która wzięła się siebie trud jego wychowania, rezygnując z życia osobistego i wyrzekając się własnego szczęścia dla szczęścia syna. Literatura zna wiele pomników, wystawionych matkom pisarzy w ich dziełach. Z „Obietnica poranka” przybył nam jeszcze jeden pomnik, niezwykły żywy i plastyczny, skreślony piórem utalentowanego pisarza. Dla polskiego czytelnika „Obietnica poranka” stanowi lekturę nadzwyczaj ciekawą i zajmującą. Dzielniostwo spędził autor w Wilnie (mieszkał oboje z matką na Wielkiej Pohulance pod numerem 16), a wczesna młodość w Warszawie, gdzie chodził do polskiego gimnazjum. Do dziś też autor zachował znajomość języka polskiego, o czym możemy się przekonać, gdy

Oczywiście dwie książki Romain'a Gary, wydane po Polsku, nie mogą należeć do spularyzowanego tego pisarza. Muszą też zauważyć, że dziwnie są drogi naszej polityki wydawniczej. Do tej pory nie udostępniono polskiem czytelnikom pierwszej powieści Romain'a Gary pt. „L'education européenne" (Wychowanie europejskie, 1945), poświęconej polskiemu ruchowi oporu, której bohaterem jest młody Polak, dojrzewający w latach wojny i okupacji. Te książki winno się było przełożyć jako pierwszą, ale skoro tak się nie stało; należy ją wydać u nas obecnie. Spójrznięcie na sprawy polskie pisarza francuskiego, w dodatku obznajmionego z charakterem naszego życia, stanowi cenny dokument artystyczny i polityczny. Chciałbym również zasymalizować, że i najnowsza powieść Romain'a Gary „La danse de Gengis Cohn" (Taniec Dżyngis Chohn) zachaca o sprawy polskie, ba! nawet o Łódźkę, albowiem bohater tej powieści urodził się w Łodzi. Najnowsza powieść Romain'a Gary jest utworem nie stroniącym od najbardziej aktualnych problemów politycznych, in. zajmuje się w niej autor sprawami Niemiec zachodnich, Hamburgi tygodnik „Der Spiegel". recenzując te książki, nie mógł powstrzymać się od kilku ironicznych uwag pod adresem jej autora, dla którego swoisty demonizm duszy niemie-

adres

Nareszcie
Simenon

wraca sytuacji. W odpowiedzi autor stawia zazwyczaj swoje go bohatera w jakiejś sytuacji krańcowej, umieszcza ją między antynomiami i zwiastując akcję cofa się do zdarzeń czy zjawisk, które tę sytuację spowodowały, a w strumieniu monologu wewnętrznego prześledzić można zazwyczaj zachodzące pomiędzy nimi związki przynajmniej genetyczne. Simonon jest przebiegły, jego monolog jest wewnętrznie sam utajone. Jego powieść rozpoczyna się od zawieszenia akcji, od oczekiwania na wiadomość o uformowaniu nowego gabinetu rządowego, ale ona się dzieje, akcja się rozwija i autor rzadko wywreca się retrospektywnie, a także introspekcyjnie, bez kłó-

4) Georges Simenon: „Premier”, PIW 1967, str. 150. Przełożyła Hanna Oledzka, Pozycja ta ukazała się w cyklu „Klubu Interesującej Książki”.

POLONICA

„TEN ŚWIAT
NIE JEST JUŻ BIAŁY“...

nie jest publicystyką, lecz literaturą. W esejach Baldwina szczególnie autobiograficzne, niby kamień rzucony do wody, zaczynała otaczać się kregami spraw amerykańskich, a sprawy amerykańskie — uniwersalnymi sprawami człowieka, który musi określić swoje miejsce w świecie, podzielonym na dwie części. Ten sposób pisania znajduje uzasadnienie w zdaniu: „Ludzie są zaplatani w historię, ale historia jest zaplatana w nich” oraz w wyznaniu wiary pisarza: „Nie lubię ludzi, którzy lubia mnie za to, że jestem Murzynem, lub tylko z tego powodu mną gardzą. Kocham Amerykę jak żaden inny kraj na świecie i dlatego domagam się prawa do jej nieustannej krytyki. Sadze, że wszystkie teorie są podejrzane, a najłepsze zasady może ulepszyć lub zniszczyć samo życie. Dlatego trzeba znaleźć sobie własny ster moralny w nadziei, że we właściwym kierunku poprowadzi nas przez świat. Uważam, że mam wiele obowiązków, ale najważniejszy z nich to ten, który wskazał Hemingway: trwać i robić swoje. Chce być uczciwym człowiekiem i dobrym pisarzem“. Nie jest łatwo być uznanym w Ameryce za dobrego pisarza, jeśli się jest Murzynem. A jednak Baldwin to osiągnął.

ELŻBIETA WRÓBLEWSKA

*) W polskim przekładzie ukazały się trzy książki Baldwina: „Idź, głos to na górze”, „Inny kraj” i „Następnym razem, panie”.

ROBERT GLUTH

Niedawno, w tygodniku „Odgłosy”, opublikowano stenogram świetnej, błyskotliwej dyskusji. Rzeczą dotyczącą szans istnienia kabaretu literackiego. Nie kabaretu w ogóle, lecz w mieście Łodzi, co podkreślano z całą mocą, ponieważ nikomu nie przyszło by do głowy zastanawiać się nad czymś takim w Krakowie, Warszawie albo Paryżu. „Pojedynczo” problem jest ciekawy nie od dziś, czemu wyraz dali w swych wystąpieniach red. red. Maria Lorber, Maria Kornatowska, aktor Eugeniusz Kamiński i inni dyskutanci. Dlaczego w Łodzi „nie chwytają” próby z kabaretami literackimi, czemu kabarety takie dogorywały zawsze, niemal od chwili narodzin — i nawet pokrewne zjawisko, głośny w swoim czasie studencki teatrzyk satyry „Pstrąg”, utracił swoje znaczenie? Na podobne pytania starano się udzielić odpowiedzi, zastanawiając się także, że zrozumiałą ostrażnością, nad tak zwanymi perspektywami.

Już w następnym bodaj numerze „Odgłosów” red. Jerzy Panasewicz — recenzent teatralny i felietonista — podjął temat doradzając wykorzystanie dwóch szans odnowy(?) i trwania łódzkiego kabaretu. Zdaniem autora należy przede wszystkim rozbudzić w społeczeństwie łódzkim szczególny snobizm kulturalny — „snobizm na kabaret” — „premiując” racjonalnych snobów... słonymi cenami biletów wstępu(!), tańcem brzucha, bardziej frywolnymi pomysłami z importu (to znaczy z krakowskiej „Piwnicy”) itp. — w myśl zasady, że jak snob, to mieszczuch, a mieszczuch lubi być epatowany. Drugą szansą kabaretu jest, zdaniem red. Panasewicza, mecenat finansujący, który sprawować powinna łódzka gastronomia. Krótko mówiąc: z brzucha powstał (patrz — dotacje LZG) i w brzuch się obrócił (patrz — choreograficzna premia dla początkujących snobów).

Felieton red. Panasewicza zaskoczył mnie tak dalece, że postanowiłem wtynić swoje trzy grosze do dyskusji.

Gwoli ścisłości: pisać dalej „kabaret” mam na myśli różnorodną formę kameralnej działalności sceniczno-estradowej — w każdym razie nie chodzi mi o jeszcze jedną instytucję teatralną.

I.

W przeciwnieństwie do Histerii — co do której zdania są podzielone — rola jednostki w kabarecie wydaje się być decydująca.

Oczywiście, już słyszę głosy oponentów: przecież „Qui pro quo” — to nie tylko Boczkowski, lecz również Jarossy, Ordonówna etc., etc., zaś STS Warszawa, to Markuszewski, Osiecka, Abramow, Leszek Biskup i wszyscy inni... Pozwólcie, drodzy oponenti, że wyjaśnię ów narzu-

cający się motyw „non solus, sed etiam”.

Kabarety nie są formą organizacyjną „instytucjonalną”, posiadają specyficzne zasady doboru, wspólne zainteresowania i wspólny stosunek do spraw interesujących grupę, można w nich wyodrębnić „leaderów”, najbliższych współpracowników i otoczkę mniej lub bardziej snobistycznych „członków stowarzyszonych”. Działalność sceniczna kabaretu jest tylko jednym — choć dla publiczności najistotniejszym — przejawem istnienia grupowego. To wszystko wnikiwy obserwator (i szperacz) może sprawdzić w tekstach monograficznych, wspomnieniowych, w usłnych przekazach — od zarania do najnowszych dzie-

nej, mistyfikacji, walki (czy też buntu), manifestacji określonego „credo”. Dlatego źródłem inspiracji i twórcą programu (tekstów, gagów, melodii, piosenek, atmosfery, kształtu widowiska) jest w łwiej części — jeśli nie w całości — sam zespół kabaretu. Ze zdania „kabaret ma coś do powiedzenia” wynika jego oczywista cecha — że kabaret w pewnej mierze istnieje również przeciwko czemuś lub przeciwko komuś. Nigdy nie istniał i chyba nie może istnieć zespół tego typu, który by czegoś nie zwalczał, czegoś nie negował. Jeśli sięgniemy do pradziejów, to ujrzymy „Zielony Balonik”, z całą jego frywolnością, będącą wówczas szokującym,

ważnym zespołem środków materialnych i niematerialnych, które umożliwiają sceniczną realizację zamierzeń.

Red. Panasewicz jest innego zdania, ale dla mnie propozycja, żeby Łódzkie Zakłady Gastronomiczne finansowały kabaret literacki w Łodzi, wydaje się trochę nieaktualna, a trochę koszmarna. Przede wszystkim, nie wyobrażam sobie dyrektora przedsiębiorstwa i księgowego, którzy zechcieliby ponieść takie szalone ryzyko — skoro wzmnie się pod uwagę wskaźnik śmiertelności kabaretowych noworodków. Po drugie — na jakiej zasadzie impreza ekskluzywna, elitarna miałaby korzystać z mecenatu przedsiębiorstwa, które w Łodzi stoi na skandalicznym poziomie.

Oczywiście, sprawy finansowe są ważne i odpowiednia sala i projekty dekoracji, i opłacalność cen biletów wstępu i snobistyczna reklama. I tutaj dochodzimy do drugiego warunku istnienia kabaretu z ambicjami, czasami niewygodnego w słowach i uczynkach, zbyt złośliwego w czyjejs opinii. Czy miasto sobie takiego kabaretu życzy? Innymi słowy, czy istnieje atmosfera, w której grupa utalentowanych ludzi mogłaby postawić wszystko na jedną kartę i powiedzieć: sto razy się nie udało, a sto pierwszy się uda.

Z góry wiadomo, że impreza typu kabaretowego byłaby adresowana do łódzkiej inteligencji, i młodzieży akademickiej warstwy niewątpliwie potrzebnej liczebnie. Teoretycznie więc popyt istnieje. Tutaj jednak red. Panasewicz i red. Kornatowska czynią pewne zastrzeżenia w swoich wypowiedziach na łamach „Odgłosów”. Podają bowiem przykłady zmuszające do myślenia na temat niekorzystnych tradycji i nawyków kulturowych, niewybrednych kryteriów wyboru rozrywk i innych problemów miasta przemysłowego.

Moim skromnym zdaniem, bardzo często demonizujemy ową „specyfikę przemysłową”, ulegamy jakiejś zbiorowej psychozie, co nie może pozostawać bez ujemnego wpływu na samopoczucie inteligencji łódzkiej i na politykę kulturalną władz miejskich.

Tymczasem okazuje się, że wystarczyłoby mądrze poprowadzić kampanię reklamowo-popularyzatorską wokół Teatru Wielkiego, wystarczyło, że Warszawa zaczęła zjeżdżać do nas w gości, tudzież pisać dużo i z sympatią — a sztuka operowa zdobyła sobie więcej „specyficznego fabrycznych” zwolenników, niż przypuszczali umiarkowani optymiści.

A więc — może w Łodzi chwycił kabaret? Jestem umiarkowanym optymistą, z pewnym istotnym zastrzeżeniem: nie widzę tych, którzy ów kabaret stworzą. Do tej pory rodaków rozmowy rozwijają się prawidłowo i pomysłnie. Handlowi bowiem kotem w worku.

III.

Przypuścmy, że już jest grupa ludzi zdolnych i chętnych do stworzenia w Łodzi kabaretu z prawdziwego zdarzenia. Pozostaje więc do roz-

Taniec brzucha i koty w worku

jów polskich kabaretów. Nawet — a może głównie — drogi upadku poszczególnych kabaretów przekonują o słuszności tak sformułowanej tezy: są tam walki o decydujące wpływy, obiektywne zaniki przyczyn, dla których ileś tam osób odczuło potrzebę połączenia się w grupę itp.

Uzgodnijmy przeto rzecz bardzo istotną: warunkiem koniecznym egzystencji kabaretu jest istnienie zespołu organizującego się mniej lub bardziej samorządnie — w każdym razie nie na drodze postawień i poczynań typu „instytucjonalnego”, formalnego, z tzw. inicjatywą odgórna włącznie. Grupy takie osadzają się w „sferze przyciągania” silnych indywidualności artystycznych. Jest to, jak się rzekło, warunek konieczny. Ale czy dostateczny również? O tym nieco dalej.

II.

Tymczasem najbanalniejsze stwierdzenie, na zasadzie prostej implikacji: kabaret musi mieć coś do powiedzenia. Po pierwsze — sam dla siebie, po drugie — dla publiczności. Jak Rzeczpospolita Rzeczpospolita nie było takiego cudu — o jakim wspomina Eugeniusz Kamiński — żeby renomowani literaci napisali jakiegoś tekstu, żeby te teksty opracowano, zweryfikowano, rozdarło dobrym wykonawcom, całość zainscenizowano post factum — i żeby z tego zrodził się kabaret. Jest to bowiem metoda, którą z racji swej struktury i organizacji posługują się instytucje teatralne lub wyspecjalizowane przedsiębiorstwa estradowe. Kabaret łączy różne, czasami pozornie przeciwstawne elementy: zabawy, improwizacji, własnej twórczości oryginal-

skanalicznym atakiem na C. K. pruderii i obłudę obyczajową. Nawet w Warszawie międzywojennej w kabaretach nie śpiewano tylko „Młodość ci wszystko wybacz”, lecz również niejednemu wielkiemu pułkownikowi utarło nosa. Kabaret mało odważny, jednostronny — nudzi. Niezadowolony — powoduje obojętność. Nie ma szans przeżycia, przestaje być kabaretem.

Powziada red. Panasewicz, że znów wrócił czas, gdy mieszczucha trzeba epatować. Z tym godzę się chętnie. Ale, panie Jerzy, to, co pan proponuje — cztery litery wypisane na lampie — kogoś dziś epatuje? Dziwi, szokuje? W tej całej metodzie wypinania się, udziwniania i innych happeningsów, najgorszy jest brak szaleństwa. Zdrowego szaleństwa, zabawy kał gębą, i smutku, czy melancholii na miarę Wertyńskiego. Brak autentycznego przeżycia.

„Piwnica pod Baranami” wcale nie dlatego ma komplety snobów i rzeczywistych entuzjastów na sali, że kiedyś tę nieścisłą „Etykę” Spinozy fragmentami recytowano „na tle” rozbiegającej się pań. Tam po prostu jest masa pomysłowości, aktywnego programu, szampańskiej groteski, nonkonformizmu i jeszcze duży kawał autentycznego dramatu w śpiewach Ewy Demarczyk. Od zbiorowego rechotu — po ciarki na grzbiecie. To widzi lubi. To widzi kupi.

TELE-OBIEKTYW

Żale na dziennik

Dziennik Telewizyjny poszukiwał swego czasu nowych form, ale od kilku lat zakrzepł w nie zmienionym kształcie. Można by wyciągnąć z tego wniosek, że osiągnięto swego rodzaju ideał i że dalsze eksperymentowanie, czy próby odświeżenia formy są czymś całkowicie zbędnym.

Doświadczenie jednak uczy, że każda forma przeżywa się, że zmieniają się gusty i mody, że to co nam się swego czasu podobało, szarzej i zaczyna nudzić. To nie znaczy oczywiście, że nas Dziennik TV nudzi. Nie! Ale to już raczej zastęga polityków i faktu, że żyjemy w tzw. ciekawych czasach.

Wielka reforma DTV dokonana przed kilku laty spowodowała się do paru zaledwie elementów. Do stałej zastawki w tle, do zastąpienia zawodowych lektorów dziennikarzami i do wprowadzenia telefonów od stałych korespondentów z kilku stołec europejskich i czasem Nowego Jorku.

Omówmy kolejne te elementy. Zastawka. Wydaje się, że jej niezmiennosc uszytych wizualną stroną DTV. Za granicą stoją się przy tych okazjach plansze i zastawki fotograficzne, które zmieniają się w tle za plecami lektora w zależności od wypowiedzianych przez niego treści. Czasem więc ukazują się tam wykresy lub dane statystyczne, to znów fotografie, której dotyczy wypowiedziana właśnie informacja itp.

Zmiana lektorów na dziennikarzy w samej intencji była słuszną. Chodziło o to, by widzowie nie mieli do czynienia z mechanicznymi odtwórcami, ale żeby stykali się z tymi ludźmi, którzy w oparciu o serwis agencyjny z całego świata tworzą na zasadzie selekcji zestaw informacyjny DTV. Ale w praktyce nie się prawie nie zmienia.

Do rzadkości należą momenty, gdy prowadzący Dziennik odrywa wzrok od serwisu depesowego i dodaje coś wyrażnie od siebie. Dziennikarze, których liczba pojawiających się na ekranie bardzo się zmniejszyła, nabrali po prostu lektorskiej rutyny, czytają płynnie i to zarówno wtedy, gdy są na wizji jak i w momentach, gdy odczytują tekst pod obraz filmowy. W ostatnich tygodniach miałem możliwość oglądać Tele-Dziennik nadawany równie o godzinie 19.30 przez telewizję jugosłowiańską. Zastosowano tam system krótkich komentarzy, opracowywanych na gorąco w związku z ważniejszymi wiadomościami dnia. Zwykły serwis

depesowy przerywany jest ukazywaniem się komentatorów różnych specjalności.

U nas taki system komentowania należy do rzadkości. Na ogół ogranicza się do telefonów z Moskwy, Bonn, Londynu czy Paryża. Relacja telefoniczna korespondentów zagranicznych DTV zarejestrowana na taśmie magnetofonowej ma z reguły obniżoną czytelność na skutek słabości technicznej zapisu. Myślę, że nie wycofując się z tej formy informowania, należałoby zwiększyć ilość komentarzy opracowywanych i wygłaszanych przez krajowych specjalistów. Rozbiłoby to pewną monotonię, jaką wkłada się chwilami do Dziennika i podniosło poziom informacji.

Na koniec sprawa materiału filmowego. Nie wiem, czy rozszerzenie serwisu zagranicznego natrafia na poważniejsze trudności. To co oglądałem w telewizji jugosłowiańskiej, było o wiele bogatsze od tego, co oferuje nam DTV. Ponadto niezbyt ciekawy jest zestaw filmowy dotyczący wydarzeń krajowych. O tym trzeba by osobno parę słów.

Nie chodzi o usensacyjnienie serwisu krajowego. Ale należałoby chyba włożyć w niego więcej inwencji i wysiłku redakcyjnego. Ogromna większość tematów krajowych na ekranie DTV jest jałowa, gra witująca między tanią i nieskuteczną interwencją a niepoważnym żarcikiem. Tonacja komentarzy do krajowych wstawek filmowych jest często nie do przyjęcia. To sadzenie się za wszelką cenę na dowcip, że wszystkie „lato obrodziło” itp. koncepcje z kalendarza obniżają poziom Dziennika.

Zgromadziłem tu sporo uwag krytycznych pod adresem Dziennika. Nie chciałbym zarobić sobie na opinie wiecznego malkontenta. Z pewnością zdarzają się także wydania DTV lub pewne ich czasy interesujące i starannie opracowane. Jednak choćby w zestawieniu z „Monitorem” występują ewidentnie niedostatki redakcyjne DTV. Prawda, że redakcja „Monitora” wydaje swój magazyn tylko raz na tydzień, ale jest też chyba znacznie mniej liczna.

W naturze ludzkiej leży pewien oportunizm. Skoro do pracowałem się jakiegoś wzorca, to ekspluatuje go na co dzień i nie zawracamy sobie głowy eksperymentami. Sądzę jednak, że po jakimś czasie, gdy wzorec staje się głęboko wyjeżdżoną koleiną, należałoby podjąć dyskusję nad jego odświeżeniem.

WLADYSŁAW ORLOWSKI

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



W jednej z ostatnich scen filmu „WYROK W NORYMBERDZIE” obrońca skazanych na dożywotnie więzienie byłych przedstawicieli hitlerowskiego wymiaru sprawiedliwości proponuje sędziemu zakład, że za 5 lat skazani znajdą się na wolności. Film Stanleya Kramera powstał w roku 1962. Kramer już wiedział, że gdyby do zakładu doszło, ten kto proponował, wygrałby w wielu wypadkach. Wydarzenia w filmie Kramera rozgrywają się jednak w

roku 1948, wydaje się jeszcze wyrok skazujący, choć w obliczu pierwszego kryzysu berlińskiego i zaostreżenia nastrojów zimnej wojny, polityka amerykańska zaczyna już zmierzać w kierunku łagodzenia postaw wobec narodu niemieckiego i jego hitlerowskich przywódców. W tym kontekście film Kramera, odzwierciedlając jeden z procesów przeciwko dygnitarzom III Rzeszy i pozostając dramatem politycznym, podejmuje szerszy problem moralnej i prawnej odpowiedzialności człowieka wobec własnego narodu i wszystkich społeczeństw. „Względy polityczne” dyktowały postępowanie hitlerowskim sędziom, narzucały się im pragnienie również trybunałowi sędzemu. Znamienne są okoliczności ogłoszenia ostatecznego wyroku, jeden spośród trzech sędziów zgłasza swe votum separatistyczne wobec decyzji kolegów. Wina czy współwina nazistowskich prawników nie dla wszystkich jest oczywista.

S. Kramer jest człowiekiem uczciwym i odważnym. Podejmując więc za temat filmu problem tak wielkiej wagi, szuka razem ze scenarzystą A. Mannem pełnej prawdy o „czasach pogardy”, prawdy o ludziach, o jednostce i całym niemieckim społeczeństwie, o jego współodpowiedzialności. Nie potrzebuje jednak na tym, patrzy i ocenia, również współczesność roku 1948, jest przecież bogatszy o doświadczenia lat następnych.

Twórcy filmu występują przeciw korupcji prawa w ogóle i podejmują jeden z centralnych problemów naszej epoki — problem odpowiedzialności.

Nie wiem czy było to świadomym zamierzeniem twórców, lecz sprawa nabiera głębszego sensu przez fakt, iż wyrok w tym procesie zależy od decyzji podjętej przez emerytowanego sędziego z prowincjonalnego amerykańskiego miasteczka. W sumieniu tego starego człowieka przytłoczonego straszną prawdą, powtarzającego wiele razy „Ja już nie wiem, nie rozumiem” ma zapas wyrok, którego sens ma ogólnoludzki wymiar. Wyroki, które tam w Norymberdze ogłaszano, miały karać ludobójstwo, wymierzać sprawiedliwość w imieniu ludzkości, miały świat uczyć mądrości politycznej lecz przede wszystkim określać i przypominać zasady etyczne, o których ten świat zbyt często zapomina. Dramat sumienia, który przeżywa sędzia i konieczność podjęcia decyzji, która oceni ludzkość nabiera symbolicznego sensu — jednostkowej odpowiedzialności każdego człowieka za własne i całego społeczeństwa czynny, za historię, „Sonnenbruchowski” motyw powraca poprzez analizę postaw sędziów i tych, którzy sadzą.

„Wyrok w Norymberdze” jest filmem sugestywnym, jego racie są niezaprzeczalne i bliskie naszym przekonaniom. Cenimy odwagę, rze-

telność i publicystyczną pasję Kramera (znajmy już również jego „Ostatni brzeg”), a jednak odbiorcy filmu towarzyszą pewne sprzeczności, które dotyczą pozornie marginesu, niemniej mają nieoczekiwane silne znaczenie dla całości filmu. Kramer ma jedną, wielką słabość, nie umie rezygnować z udziału wielkich gwiazd ekranu w filmach, które naprawdę ich nie potrzebują. A może my ich nie potrzebujemy, a Kramer zna swych amerykańskich widzów? Może im są potrzebni, tak jak w wypadku „Ostatniego brzegu”, Ava Gardner, Gregory Peck, a tu w „Wyroku” B. Lancaster i inni.

Możemy zaakceptować wyłączenie wybror wielkiego Spencera Tracy do roli sędziego, trzeba być naprawdę wielkim aktorem, by zrzucić z siebie gwiazdorstwo i stać się autentycznym człowiekiem, uczestnikiem wydarzeń, które nie są fikcją lecz najstraszliwszą prawdą, niedawną historią ludzkości. Skądinąd znakomity rolę Maksymiliana Schella w roli obrońcy Montgomery Clifta czy Richarda Widmarka pozostają tylko świetnymi aktorstwem. Snułaca się po ekranie tajemnicza Marlena Dietrich, aktor R. Widmark jako prokurator prezentujący autentyczne zeznania z obozu w Dachau, to po myśli, które Kramerowi trudno przebaczyć. Przy chybą najsłabszych intencjach, odebrał w ten sposób i tak range swemu filmowi.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Ten dobry, szlachetny w założeniach i pasji film staje się chwilami sztytą grubymi niemi inscenizacją, dotyczącą spraw, do których twórcy nie znaleźli najwłaściwszego klucza. Wielka publicystyka pozostaje przecież sztuką faktów, ewizdorzy autentyzmowi zaskakują.

Może w swej ocenie popełniam po myłkę, może Kramer ma rację? Ściąga nazwiskami aktorów i zdobytych „Oskarami” (dla scenarzysty i M. Schella) na swój „Wyrok w Norymberdze” więcej ludzi aniżeli przy szłoby na dokumentalny „Proces w Norymberdze”. A jednak? Spośród dwóch możliwości — dokumentalnej publicystyki i inscenizowanej publicystyki, wybieram tę pierwszą. Chyba, że rzecz przestaje być tylko publicystyką, a staje się głosem twórcy, który znajduje artystyczny ekwiwalent dla wyrażenia nawet najtrudniejszych do przedstawienia faktów i myśli. Nie bode chyba odosobniona w przekonaniu, że jeśli chodzi o tragizm „czasów pogardy” wyrażony sztuką kina, to historia filmu notuje dziś na pewno jedno arcydzieło — jest nim niedokończona „Pasazjerka” Andrzeja Munka.

Wyrażone tu żale mają mimo wszystko charakter formalny, a film Manna i Kramera warto zobaczyć, pozwala on wierzyć, że ludzie pamiętają i myślą i nas zmusza do tego samego.

EWA NURCZYŃSKA

Świadek obrony

Jeszcze ani razu w moim życiu nie zdarzyło mi się oglądać bardziej dziwnego procesu. Sędzono zabójcę. Tytuły gazet krzyczały o mordzie w Paisham, chociaż Norswood Street, gdzie znaleziono ciało starej kobiety zamordowanej tępnym narzędziem — tak naprawdę, to nie znajduje się w pobliżu dzielnicy Paisham. W tym przypadku oskarżenie o zabójstwo absolutnie nie było zbudowane na poszlakach. Nie, tym razem zabójca prawie został schwytany na miejscu przestępstwa. Kiedy odczytano oskarżenie, w sali sądowej nie było ani jednego człowieka, który by nie wierzył, że wyrok w tej sprawie jest zupełnie jasny.

Oskarżony był olbrzymim dobrze zbudowanym mężczyzną o czerwono wybarwionych włosach. Niezwykle wrażliwy sprawiał jego biada; wydawało się, że cała sala jest skupiona właśnie w nim. Jednym słowem, jego wygląd zewnętrzny robił raczej odpychające wrażenie. Zobaczywszy takiego typa nie od razu go się zapomni, i właśnie to miało niezwykle ważne znaczenie, jako że sąd wezwał czterech świadków, którzy widzieli, jak zabójca oddalał się od małego czerwonego domu na Norswood Street i zapamiętał wygląd tego człowieka. A wydarzyło się to tuż po drugiej godzinie w nocy.

Mrs. Salmon z domu numer piętnaście długo nie mogła zasnąć. Usłyszała stuk zażelazionych drzwi i pomyślała, że to stuknęła furtka u niej w ogrodzie. Wtedy podeszła do okna i zobaczyła Adamsa (tak się nazywał oskarżony); stał na ganku domu Mrs. Parker. Widać było, że przed chwilą wyszedł z jej domu, na rękach miał rekinowicę, w jednej ręce trzymał młotek. Następnie Mrs. Salmon zobaczyła jak wychodząc z bramy rzucił młotek w krzaki rosnące wzdłuż ogrodzenia. Jednakże, nim zdążył zejść z ganku, podniósł głowę i spojrzał na okno Mrs. Salmon. Człowiek instynktownie czuje kiedyś go ktoś obserwuje i to okazywało się dla przestępcy tragiczne w skutkach. Światło latarni ulicznej padło na jego twarz i Mrs. Salmon wyraźnie zobaczyła jego oczy — był w nich błogiczny strach, jak u dzikiego zwierzęcia, kiedy nad jego głową zawisł biczą. Wy-

raz tych oczu napłynęła ją przerażeniem. Potem rozmawiałem z Mrs. Salmon, która po stłuszczonej decyzji przysięgłych, z zupełnie naturalnych powodów obawiała się o swoje życie. Wydaje mi się, że to samo czuli inni świadkowie; Henry McDougal, który o tej godzinie wracał samochodem do domu i niewiele brakowało, a potrąciłby Adamsa na rogu Norswood Street. Adams szedł środkiem ulicy, a wyglądał jak pijany. Starego Mr. Wilkera mieszkającego w sąsiedztwie Mrs. Parker w domu numer dwanaście obudził jakiś hałas — jakby za ścianą przewrócono krzesło (ściany w tych domkach nie są zbyt grube), wtedy wstał z łóżka i tak jak Mrs. Salmon wyjrzał przez okno, zobaczył plecy Adamsa i w tym momencie kiedy Adams się obrócił — ujrzał jego czerwono wybarwione oczy. Adams najwyraźniej nie miał szczęścia: na Lorel Avenue zauważył go jeszcze jeden świadek. Z takim samym powodzeniem mógłby dokonać swojego przestępstwa w białym dniu.

— Ja wiem — powiedział prokurator — obrona będzie sugerować, że trudno jest w takiej sytuacji o rozpoznanie przestępcy i określenie go. Żo na Adamsa oświadczy, że czternastego lutego o godzinie drugiej w nocy Adams był razem z nią w domu, jednak po wysłuchaniu zeznań świadków oskarżenia, którzy dokładnie opisują wygląd zewnętrzny przestępcy, uważam, że raczej trudno będzie w takiej sytuacji pomylić się co do wyroku.

No cóż, powiecie, sprawa była zupełnie jasna. Wystarczyło tylko powiesić mordercę i koniec.

Po zeznaniach policjanta, który znalazł ciało i przedstawił ekspertyzę medyczną sądowej, wezwano świadka Mrs. Salmon. Kobieta ta mówiła z lekkim szkockim akcentem; jej otwarta, szczera twarz wyrażała dobroć i świadomość obowiązku spoczywającego na niej. Inaczej mówiąc, była ona idealnym typem świadka, do którego ma się absolutne zaufanie.

Prokurator w sposób bardzo delikatny zaczął zadawać jej pytania. Mrs. Salmon odpowiadała spokojnie i zdecydowanie. W jej głosie nie wyczuwało się ani zła, ani chęci zemsty, a ona była zupełnie nieświadoma tego, że oto tutaj w głównym sądzie karnym jest w tej chwili centralną postacią i że każde słowo jej zeznań przyjmują sędzią w czerwonej toczce, a reporterzy skwapliwie wszystko zapisują.

— Tak — powiedziała — zobaczyłam go, natychmiast zeszłam na dół i zadzwoniłam na policję.

— A czy świadek może odzyskać tego człowieka tutaj na sali sądowej?

Kobieta popatrzyła prosto w oczy dryblasia siedzącego na ławie oskarżonych, napotykał jego ciężkie, tepe spojrzenie, pozabawione, wydawało się, jakiegokolwiek wyrazu.

— Tak — powiedziała — oto on.

— Czy świadek się nie myli?

— Ja nie mogę się mylić, sir — odparła po prostu.

Bardziej klarownego układu nie można było wymagać. — Dziękuję pani, Mrs. Salmon.

Wstał adwokat aby zadać kilka krzyżowych pytań. Każdy kto podobnie jak ja dzień-światki razy był obecny w charakterze reportera na procesach sądowych dotyczących zabójstwa, mógł z góry określić jaką linię obrony obrał adwokat. I oczywiście nie omylił się.

— Mrs. Salmon, przede wszystkim pragnę przypomnieć, że od pani zeznań zależy życie człowieka.

— Pamiętam o tym, sir.

— Czy pani ma dobry wzrok?

— Nigdy nie używałam okularów.

— Jeśli się nie mylę, pani ma pięćdziesiąt lat.

— Pięćdziesiąt sześć, sir.

— Człowiek, którego pani widziała znajdował się po drugiej stronie ulicy.

— Tak, sir.

— Było to o godzinie drugiej w nocy. Pani prawdomość ma znakomity wzrok, Mrs. Salmon.

— Nie, sir. Po prostu była pełnia księżyca, a kiedy ten człowiek uniósł głowę światła latarni padło na jego twarz.

— Należy z tego wnosić, że pani ani na chwilę nie wątpi w to, że oskarżony jest właśnie tym człowiekiem, którego pani widziała.

Tym razem przestałem rozumieć do czego zmierza adwokat. On nie mógł oczekiwać innej odpowiedzi od tej jaka padła.

— Nie mam żadnych wątpliwości, sir. Taka twarz przedko się nie zapomina.

Adwokat w milczeniu spojrział na salę sądową, a po chwili powiedział:

— Czy byłaby pani tak uprzejma, Mrs. Salmon, jeszcze raz przyrzec, że wszystkim obecnym w tej sali? Nie nie, niech pani nie patrzy na oskarżonego. Panie Adams, mo-że pan wstanie.

W głębi sali wstał z krzesła kłopotliwy mężczyzna na mocnych masywnych nogach, z przekrwionymi, wytrzeszczonymi oczyma — zupełna kopia tego, który siedział na ławie oskarżonych. Nawet ciemnoniebieska marynarka i w pasie krawat były takie same.

— A teraz bardzo panią proszę, Mrs. Salmon, proszę do- brze się zastanowić zanim

pani da mi odpowiedź. Czy teraz też może pani zeznać, że przysięga, że mężczyzna, który rzucił młotek w krzaki przy płocie obok domu Mrs. Parker to właśnie ten siedzący na ławie oskarżonych, a nie ten drugi — jego brat bliźniak?

Naturalnie, świadek w żaden sposób nie mógł tego potwierdzić. Kobieta bez przerwy przenosiła wzrok na jednego, to znów na drugiego mężczyznę nie wymawiając ani słowa.

Dryblas siedział na ławie oskarżonych zaciągając nogę na nogę i w tym samym czasie on stał wyprostowany w końcu sali, i obaj patrzyli na Mrs. Salmon. Pani Salmon pokiwała przecząco głową.

Potem sprawa została zakończona bardzo szybko. Nie znalazł się ani jeden świadek, który gotów był przysiąc, że widział właśnie tego — oskarżonego. A jego brat? Miał zupełnie takie samo alibi: był w tym czasie u siebie w domu, z żoną.

I w taki oto sposób obwiniony zwolniony został z braku dostatecznych dowodów. A czy mimo to został ukarany — jeżeli to on dokonał morderstwa a nie jego brat — tego nie wiem. Zakonczenie tak niezwyklego dnia było równie niezwykle jak jego początek. Wyszedłem z sądu za panią Salmon i od razu znaleźliśmy się w środku tłumy, który, jak należało się domyślić, oczekiwał pojawienia się bliźniaków.

Policja usiłowała rozpedzić gapiów, ale jedyną rzeczą jaką udało jej się zrobić, to nie pozwolić wielkiemu tłumowi zatrasować ruch uliczny. Potem dowiedziałem się, że policjanci chcieli wypro- wadzić bliźniaków tylnymi drzwiami, ale ci nie zgodzili się. Jeden z nich — nikt nie wie który — powiedział: „Wy dajcie mi się, że nie jestem aresztowany, tak czy nie?”

I obaj wyszli frontowymi drzwiami. I wtedy tutaj to się stało, w jaki sposób — dokładnie nie potrafię powiedzieć chociaż byłem tuż obok nich w odległości pięciu sześciu kroków. Tłum zakomlał się, zaczął naciskać i wypchnął jednego z bliźniaków prosto pod pedzający autobus.

Usłyszałem pisk, jakby zając dostał się w sidła i ko- niec. Zmarł natychmiast, na miejscu. Miał zdruzgotaną czaszkę. Zupełnie jak Mrs. Parker. Czy dokonała się sprawiedliwość? Nie wiem. Drugi Adams ukleknął obok ciała brata, potem wstał i popatrzył na Mrs. Salmon. Po jego twarzy ciekły łzy, ale czy był on zabójcą czy też niewinnym człowiekiem — nikt nie potrafił tego udowodnić. Ale gdybyście byli na miejscu Mrs. Salmon, jak byście spalili tej nocy?

Thumaczył:
ROMAN GORZELSKI



NA GRZYBKII

Lewym okiem

Od pierwszych dni sierpnia, aż do późnej jesieni, jak Polska długa i szeroka, na bocznych drogach pod lasami, na duktach leśnych, na co dostępniejszych polanach parkują stada samochodów. Kierowcy nakryci na twarz marynarkami śpią pod sosnami, dzieci opatulane ze zmęczenia, nie mając siły zurczywać, gromko zaplakać, skomlą cicho i zdławiony bukić próbują nieporadnie chodząc boso po kłującym igliwiu, kilku panów rznie w tysiąc tuż koło motoru, puste butelki odrzucając w jeziny. To najmodniejszy, najchętniej organizowany przez referentów kulturalnych sposób spędzania weekendu mas pracujących: grzybobranie.

Setki tysięcy ludzi buszuje po lasach i przetrząsa sto razy każdy krzaczek. To już nie te czasy, kiedy każdy odruch i gest przeliczany był na przydatność lub nieprzydatność produkcyjną „danego osobnika”. Skoro miłość była produkcyjna lub nie, odpoczynek produkcyjny lub nie, radość produkcyjna lub nie — to co dopiero mówić o organizowanym życiu zbiorowości w dni wolne od pracy! To życie — to były wyjazdy na akcję żniwną,

na odciążenie, na wykopki, czasem jeszcze na biegi narodowe emerytów o odznaczeniach SPO. Potem wiele spraw uległo przewartościowaniu; już można się rozrywać bezinteresownie — powiedziano. Zbiórówce hobby znalazły możność a uczonych uzasadniaczy i protektorów, a dwa spośród nich urosły do rozmiarów potężnych ruchów masowych: ryby i grzyby.

O rybołówstwie mówi się i pisze nieustannie. „Życie Warszawy” wprowadziło już nawet cotygodniową rubrykę „Bierze nie bierze”, na wzór horoskopów Szyllera Szkolnika i jasnowidzącej wróżki Parl-Banu. Szkoda, że kielbise nie czytają „Życia Warszawy” i nadal są z tym braniem całkiem nieobliczalne. A przecież więcej mamy grzybiarzy, niż rybaków! Kto pierwszy rubryczkę: „Zbierać — nie zbierać?”

Jak to już niejednokrotnie w tym miejscu czyniliśmy, podajemy i tym razem inicjatywę. Oto garść pożytecznych a naukowo stwierdzonych wiadomości, wyszukanych zmuśnię w starych rocznikach „Ludu” i „Wisły”. Nieodzowne dla każdego! Uwaga!

Ten tylko będzie miał szczęście do grzybów, kto jako pierwszy spojrzysz na las w dzień Bożego Narodzenia. Niech jednak pamięta, aby się przed pójściem na grzybobranie dokładnie umyć. Bo oto kobieta pewna „lecieć będzie urwała, zapaliła jej się jasnym płomieniem w ręku, a inne szczyły pod palakami, wrzasnąwszy jak stado gęsi. Cały rok owej kobiecie jątrzyła się ręka, aż dopiero znachor we wsi sąsiedniej zamówił jej oparzenie — oraz odgadł, że idąc do lasu, kobieta była nieczysta, to jest nie umyta”.

Najlepiej zbierać opieńki. Gdy po przyniesieniu do domu podłożysz się pod nie paproć i posypiesz solą — zmieniają się w srebrne dukaty. Jeśli się nie zmieniają — to widać ktoś je zaczął rować.

Trzeba jednak podpieńki zbierać w kilkoro, bo inaczej „Ono się może sprzeciwić”. Jakże Ono? Nie wiem; starzy ludzie wiedzieli, młodzie nie dali sobie tej wiedzy przekazać.

Krówek (czyli wg Atlasu Grzybów Orlosia — mleczajów smacznych) zbierać nie radzimy. Nie dlatego, że sprzedawać ich nie wolno, jako zbyt podobnych do innych, trujących gatunków. Gorzej, że jeśli krówki zbiera młoda mężatka — dzieci jej będą miały koltun. Po co wam to? Już lepsze smardze: umoczone w spirytusie leczą goście jak ręką odjął. Przynajmniej na tę chwilę, dopóki działa spirytus. Plaskosz (szmaciak-galezysty) zażyty w ten sam sposób usuwa bóle żołądka, purchawka ośusza rany. Napój z muchomora pijał w dawnych wiekach sarmacki rycerz przed bitwą, żeby nadbrać odpowiedniej złości. Trudno przecież bez złości walić kogoś w głowę toporem.

W ogóle to grzyby u naszych przodków miały raczej złą prasę. Wszystkie związane z nimi zabobony i porzekadła są pomure jak noc, może dlatego, że i grzyby najlepiej szukać w mrocznych, zatechłych, zginiłych ostępach leśnych. Pamiętajcie, jak w „Hrywdzie” Rodziewiczówny kobieta opowiada swój sen o grzybach, a kumoszki od razu go tłumaczą: „Nie dohodujesz ty się dziatek, nie dohodujesz...”

Widocznie nawet Rodziewiczówna nie wiedziała, że wystarczy inny grzyb — piestrzeniec — nosić na pierś, aby się od złych uroków uchronić. Na nas zaś urok jakiś przestał działać i bez piestrzenicy. Zapamiętajcie więc tylko: gdy w Popielec pada śnieg, będzie urodzaj na grzyby! A jak prawdziwki obródzą, albo na wzgórkach, albo na dolinkach, to i zboże będzie jak las wysokie albo na wzgórkach, albo na dolinkach. Uważajcie więc na prawdziwki!

Przyjemnej wycieczki!

CWIEK